SZKOŁA CHRYSTUSOWA

258



1937 I

TREŚĆ SOMMAIRE

ROK VIII

TOM XIV

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

CZASOPISMO POŚWIĘCONE
ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO.





Lwów 1937

Wydawnictwo OO. Dominikanów

Za pozwoleniem Władzy Duchownej



2226
I a

Z drukarni dominikańskiej — Lwów.

XIV-1 styczeń 1937

Szkoła Chrystusowa

Miesięcznik

DWUNASTOLETNI ZBAWICIEL W ŚWIĄTYNI.

Refleksje na tle ewangelii (Łuk. II, 42-52) na uroczystość Najśw. Rodziny (Niedziela w czasie oktawy Trzech Króli).

Pielgrzymki do miejsc świętych stanowią jeden z najwybitniejszych rysów życia religijnego na Wschodzie. Wiemy, czym jest u mahometan pielgrzymka do Mekki i Medyny[1]), albo choćby doroczny uroczysty pochód Arabów palestyńskich do Nebi Musa, domniemanego grobu Mojżesza w okolicach Jerycha. Pielgrzymka do miejsc świętych lub do grobów (weli) świątobliwych mężów jest u wyznawców islamu głównym, obok modlitwy, aktem religijnym.

1) Kto odbył tę pielgrzymkę, nosi zaszczytny tytuł „hadż" tj. „pielgrzym".

U Żydów miejscem świętym, które ściągało tysiące pobożnych pielgrzymów, nieraz z bardzo odległych krain, była Jerozolima ze swoją wspaniałą świątynią.

Była ona miastem czci Bożej i ogniskiem życia religijnego. Każdy Izraelita, przynajmniej który bliżej mieszkał, musiał trzykroć do roku ukazać się przed Panem: na Wielkanoc (Pascha), Zielone Świątki (święto Tygodni) i na święto Kuczek[2]), i złożyć Mu ofiary oraz dziękczynienia.

Prawo obowiązywało jedynie mężczyzn, w wieku od lat trzynastu, ale i niewiasty, zwłaszcza pobożniejsze, towarzyszyły swoim mężom i zabierały z sobą dzieci, celem zapoznania ich z kultem prawdziwego Boga i wyjednania dla nich błogosławieństwa. Nie zaniedbywały zwłaszcza tej okazji, kiedy nadchodziło największe ze świąt pielgrzymich, święto Paschy.

W czasie pielgrzymki śpiewano psalmy. Jakaż nieraz niecierpliwa żądza ujrzenia miasta świętego przebija się w tych pieśniach natchnionych! Ile radości i szczęścia na myśl przebywania w domu Jahwy!

Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych,
tak pragnie dusza moja do ciebie, Boże!...[3])

Bo też Jerozolima to miasto umiłowane przez Boga, miasto, z którym żadne inne równać się nie może:

---

2) Zob. Ks. Wyj. XXIII, 17; XXXIV, 23; Powt. Pr. XVI, 16.
3) Ps. XLI, 2.

Fundamenty jego na górach świętych, bramy Syjonu Pan miłuje nad wszystkie przybytki Jakóba. Sławne rzeczy powiedziano o tobie, miasto Boże![4])

Wiemy, że niektóre psalmy[5]) specjalnie przeznaczone były dla pielgrzymów zdążających do Jeruzalem.

W okolicach Masfa, mniej więcej na wzgórzach dzisiejszej wioski El Bire, gdzie oczom galilejskiego pielgrzyma ukazuje się miasto święte po raz pierwszy, śpiewano zapewne:

Podniosłem oczy moje na góry[6]),
skąd mi przychodzi pomoc...[7])

Góry te, otaczające zewsząd i broniące Jeruzalem, to symbol obrony narodu izraelskiego przez Boga — Jahwe: „Jak góry osłaniają Jeruzalem, tak Jahwe ochrania lud swój..."[8]) Z jakimże wzruszeniem witał pielgrzym, po przebyciu nagich, surowych i twardych skał judzkich, jaśniejące w blaskach słońca, promienne miasto Boże, złocistą świątynię i błyszczące pałace Syjonu!

Weseliłem się, gdy mi powiedziano:
„Pójdziemy do domu Pańskiego!"
Stanęły właśnie nogi nasze
w sieniach twoich Jeruzalem!

---

4) Ps. LXXXVI, 1-3.
5) Tak zwane psalmy stopni (CXIX — CXXXIII).
6) Na których zbudowana Jerozolima.
7) Ps. CXX, 1.
8) Ps. CXXIV, 2.

Jeruzalem, które się buduje
jak miasto w sobie zespolone,
tamże wstępują pokolenia Pańskie
według prawa Izraelowego, aby sławić imię
[Pańskie... [9])

Niewypowiedzianym szczęściem napawał duszę pątników widok braci Izraelitów, zebranych z całego kraju dookoła świątyni:

O, jak dobrze jest, jak wdzięcznie
mieszkać braciom społem!... [10])

— — — — — — — — — —

Jakże miłe przybytki twoje, Panie Zastę-
[pów!... [11])

Nic więc dziwnego, że i rodzice Chrystusa, jako pobożni Izraelici, *chodzili co roku do Jeruzalem na dzień uroczysty Paschy*[12]). Nie wiemy, czy zabierali ze sobą także Jezusa, czy też dopiero po raz pierwszy przyprowadzili Go, kiedy miał lat dwanaście. Wiek ten nakładał już na młodego Izraelitę pewne ciężary i ostrości Prawa, jak posty, ale jeszcze nie obowiązywał do odbycia pielgrzymki jerozolimskiej.

Najśw. Rodzina pozostała na uroczystościach paschalnych przez cały tydzień[13]), aczkolwiek nie było ścisłego obowiązku święcenia całej oktawy w Jerozolimie (jak to praktykowano na święto

---

9) Ps. CXXI, 1-4.
10) Ps. CXXXII, 1.
11) Ps. LXXXIII, 1.
12) Łk. II, 41.
13) Łuk. mówi: *I kiedy wypełniwszy dni* (II, 43). co wskazuje na pobyt przez całą oktawę.

Kuczek). Ostatni dzień, podobnie jak pierwszy, obchodzono bardzo uroczyście[14]).

Po rannym nabożeństwie zbierali się pielgrzymi grupami podług rodzin lub miejscowości, z których przyszli, i długą karawaną opuszczali miasto. Jedni szli pieszo, drudzy jechali na osłach i koniach. Pewne zamieszanie, a nawet chaos i tłok w takich razach jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Cóż więc dziwnego, że ten lub ów zagubił się w tłumie! Odnajdywano się jednak wzajemnie przy pierwszym postoju, najczęściej w gospodzie (chan), dokąd zajeżdżano na nocleg.

Karawana nazaretańska, którą widzimy w naszej ewangelii, zatrzymała się na pierwszy nocleg niezbyt daleko od Jerozolimy, prawdopodobnie w dzisiejszej wiosce El Bire[15]) (3 godz. drogi) lub najdalej w Dżifne (4.5 godz.)[16]), kędy przechodziła droga rzymska. Przestrzeń przebyta w pierwszym dniu nie była zbyt wielką, gdyż wyruszano z Jerozolimy może dopiero około południa.

Józef i Maryja opuszczając Jerozolimę nie zaniepokoili się brakiem Jezusa; byli przekonani, że idzie w gromadzie, może razem ze swoimi rówieśnikami, może z krewnymi lub

---

14) Ks. Wyj. XII, 16.

15) El Bire (15 km na pł. od Jerozolimy) utożsamiają jedni z biblijnym Masfa, drudzy z Beerot. Tradycja wskazująca tę wioskę jako miejsce pierwszego postoju Najśw. Rodziny, sięga XII w. Kościół N. Maryi P., którego ruiny odkryto przed wojną światową, pochodzi z czasów Krzyżowców, lecz stanął na miejscu starszego sanktuarium.

16) Dawne Gofna; odkryto tam ruiny kościoła bizantyńskiego.

znajomymi[17]). Młodzieniec w tym wieku umie się sam prowadzić. Dwunastoletniemu Jezusowi pozostawiono już pewną swobodę. Dopiero na pierwszym noclegu spostrzegli z przerażeniem, iż nie masz w karawanie ich Syna. Nazajutrz rano wybierają się w drogę powrotną, szukając Go pośród opóźnionych karawan, a w końcu w samej Jerozolimie. I tak schodzi im drugi dzień. Dopiero w trzecim odnajdują Dziecię w świątyni. *I po trzech dniach, znaleźli go w kościele siedzącego w pośrodku Doktorów, słuchającego i pytającego ich*[18]).

Chrystus przyłączył się do grupy doktorów, którzy na krużgankach świątyni, lub w jednej z przyległych sal, mieli swoje zebrania i dysputy. Każdy Izraelita mógł być na nich obecny i stawiać swoje pytania czy trudności. Nauczanie rabinów nie było sztywne ani zbyt uroczyste. Nauczyciel i uczeń spotykali się obok siebie, wypowiadali swoje zdania i wątpliwości[19]). Metoda rabinów, polegająca na zadawaniu pytań, miała na celu podtrzymywanie uwagi słuchacza i zmuszanie go do samodzielnego myślenia. Miała też tę dobrą stronę, że pozwalała nauczycielowi rozpoznać przygotowanie ucznia i jego zdolności umysłowe.

---

17) Nie ma potrzeby uciekać się do tłumaczeń św. Bedy i św. Bonawentury, jakoby mężczyźni podróżowali w jednej grupie, a niewiasty w drugiej, co miało spowodować zaginięcie Jezusa.

18) Łk. II, 46.

19) Uczniowie siedzieli zazwyczaj na rozścielonych na ziemi dywanach, u stóp mistrza. W naszej ewangelii jednak

Chrystus P., stawiając swoje bardzo stosowne pytania i dając trafne odpowiedzi na poruszane przez rabinów kwestie, zwrócił na siebie powszechną uwagę.

„Nie ma i nie może być — pisze ks. arcyb. J. Teodorowicz — żadnego przyczynowego związku pomiędzy miasteczkiem, które aż weszło w przysłowie: „Co może być dobrego z Nazaretu“, a mądrością, o której pisze ewangelista:

Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli wielce zdumieni Jego rozumem i odpowiedziami[20]).

Skądże ta mądrość Chrystusowa? Gdzie jest jej źródło i przyczyna? Przecież nie szkoły nazaretańskie, do których Chrystus miał wprawdzie zwyczaj uczęszczać, ale które nie wznosiły się wyżej w swoim nauczaniu poza ukute, skostniałe, stare formuły mędrców Izraela! A nauka Chrystusa była nauką nową[21]).

Źródło jej wskaże On sam: *Moja nauka nie jest moja, ale tego, który mnie posłał*[22]).

Maryja i Józef będąc świadkami sceny, która przynosiła im najwyższą chlubę, nie baczą na zachwyt i zdumienie doktorów, lecz łącząc ból trzydniowych poszukiwań z radością odnalezienia zgubionego dziecka, mówią prawie z wyrzutem: *Synu, cóżeś nam uczynił?...*[23])

---

widzimy Chrystusa P. siedzącego nie pośród uczniów lecz między nauczycielami.

20) Łk. II, 47. Por. Od Betleem do Nazaretu (Poznań, 1932), str. 288.

21) Mk. I, 27.

22) Jan VII, 16.

23) Łk. II, 48.

„Cała tragedia bólu i cierpienia zamknięta jest w tych tak prostych, tak zawsze świeżą wonią miłości owianych słowach. Tak mówi serce matki. Ono nie układa się w żadne sylogizmy, ale wybucha, parte siłą swojej miłości"[24]).

Cóżeś nam uczynił? Jakaż przyczyna Twego tak obcego w dotychczasowym życiu postępowania? Dlaczego usunąłeś się spod opieki i posłuszeństwa rodziców i nabawiłeś ich gorzkiej boleści?

Tajemnicę tę odsłania w części sam Chrystus P.: *Cóż jest, żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego potrzeba abym był?*[25]).

Nie wiedzieliście, iż oprócz ziemskich rodziców, oprócz przybranego ojca, mam prawdziwego Ojca niebieskiego, wobec którego mam także obowiązki synowskie, którego spełniać wolę i rozkaz cenię sobie nade wszystko[26]).

Wiedząc — mówi Chrystus zapewne z uśmiechem — kto jest moim prawdziwym Ojcem, nie wiedzieliście, gdzie mię należy szukać? Nie wiedzieliście, gdzie jest dom mojego Ojca?...

Każdy Izraelita mógł powiedzieć o Bogu, że jest jego Ojcem, a świątynię nazwać domem swojego Ojca, ale w ustach Chrystusa ojcostwo Boże

---

24) Ks. Arcyb. J. Teodorowicz, tamże.
25) Łk. II, 49.
26) Zob. X. M. Meschler T. J., Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa w rozmyślaniach (przekład z niem.), Kraków 1913. T. I, str. 147.

nabiera specjalnego znaczenia: Bóg jest Jego Ojcem w znaczeniu dosłownym[27]).

W odpowiedzi tej odsłonił Chrystus po raz pierwszy rąbek tajemnicy swojego życia. *W rzeczach, które są Ojca, potrzeba, abym był.* „I Chrystus zawsze będzie w rzeczach, które są Ojca Jego. Wola Jego będzie pokarmem; wszelkie ludzkie chcenie i planowanie zawiesi, ażeby czekać na godzinę wyznaczoną Mu przez Ojca Jego. Tak jak dziś jest w rzeczach Ojca, gdy słucha i odpowiada doktorom i nauczycielom, tak będzie w samotnych modlitwach, tak będzie w wyczerpujących pracach, tak będzie w krwawym żniwie śmierci“...[28])

Nawet rodzice nie pojęli od razu całej głębi tej tajemnicy: *A oni nie zrozumieli słowa, które im powiedział*[29]).

Na tym kończy ewangelista prawdziwie piękny obraz Chrystusa P. pośród uczonych. Następnie w jednym krótkim zdaniu streszcza całe dalsze Jego życie w Nazarecie: *A był im poddany...*[30]) I dodaje, że Jezus, podobnie jak wszyscy młodzieńcy, rozwijał się fizycznie („w latach“) i umysłowo („w mądrości“) i stawał się przez to przedmiotem coraz większego upodobania ze strony Boga i ludzi: *A Jezus pomnażał się w mądrości w latach i w łasce u Boga i u ludzi“*[31]).

---

27) Zob. M. J. Lagrange, L'Evangile de Jésus-Christ. Paris 1932, str. 48-9.
28) Ks. Arcyb J. Teodorowicz, dz. cyt. str. 290.
29) Łk. II, 50.
30) Łk. II, 51.
31) II, 52.

Wzrostowi fizycznemu Chrystusa odpowiadał coraz większy rozwój Jego inteligencji ludzkiej, nabywanej i udoskonalanej doświadczeniem i nauką. Nie od razu bowiem — jak naucza św. Tomasz — zdobył Chrystus Pan całą swą wiedzę doświadczalną, lecz nabywał ją i kształcił powoli, stopniowo, w harmonijnej proporcji z rozwojem ciała[32]). Oprócz jednak tej zdobywanej pracą i doświadczeniem mądrości ludzkiej posiadał Chrystus nieskończenie doskonałą mądrość boską, wiedzę błogosławionych i ludzką wiedzę wlaną.

***

A był im poddany... Św. Bernard objaśniając w swej homilii (Missus) te słowa, tak pisze: „A był im poddany: Kto? Komu? Bóg ludziom; Bóg, powtarzam, którego Księstwa i Władze słuchają, był poddany Maryi, i nie tylko Maryi, ale i Józefowi — dla Maryi. Podziwiaj więc jedno i drugie i wybieraj, co bardziej podziwiasz: Syna najłaskawsze uniżenie, czy też Matki najwyższą godność... *Disce, homo, obedire!* Ucz się, człowiecze, słuchać; ucz się, ziemio, ulegać, ucz się, prochu, być poddanym! Zawstydź się, pyszny popiele! Bóg się uniża, a ty się wywyższasz? Bóg się poddaje ludziom, a ty pałając żądzą panowania, wynosisz się ponad Twojego Mistrza!“[33])

---

32) Zob. Sum. Theol. III, q. 12, a. 2, ad 1.
33) Officium S. Familiae, III Noct. (homilia).

Dzisiejsza ewangelia uczy nas także szukać Jezusa. Ileż dusz straciło Go i traci codziennie! Ileż dusz wskutek tego ma piekło już tu na ziemi! Bo „być bez Jezusa, srogim jest piekłem; być z Jezusem, rajem najsłodszym... Kto znalazł Jezusa, znalazł skarb dobry, owszem dobro nad wszelkie dobra. A kto traci Jezusa, traci niezmiernie, i więcej, jak gdyby tracił świat cały...“[34])

O. U. A. Fic, O. P.

---

34) Tomasz à Kempis, O naśladowaniu Chrystusa, II, 8, 2.

MIŁOŚĆ JAKO ŹRÓDŁO RADOŚCI.

Praca wszelkiego rodzaju jest źródłem radości. Zwłaszcza praca nad osobistym wyrobieniem moralnym. Radość, jako spoczynek woli w posiadaniu swego dobra, powstaje wówczas, gdy wchodzimy w posiadanie danego dobra. Przez pracę wogóle nabywamy pewnych dóbr. Przez pracę moralną dóbr duchowych. Dlatego ona niesie ze sobą radość[1]).

Poza pracą mamy jeszcze inne źródło radości. Jest nim cnota miłości Bożej. Te dwa źródła ściśle ze sobą się łączą. Praca moralna ma na celu przygotowanie w duszy gruntu podatnego dla cnoty miłości, jej obronę przed wrogami tak wewnętrznymi jak zewnętrznymi, wreszcie jej ugruntowanie się i wzrost. *Końcem przykazania jest miłość*[2]). Miłość Boża znów, stając się pobudką czynności, dodaje nam otuchy, zapału w pracy nad sobą i przez to nam ją ułatwia. Jest więc między nimi zależność i wzajemne wspomaganie się. Wzrost w cnocie miłości w dużej

1) „Szkoła Chrystusowa", listopad 1936.
2) Tym. I, 5.

mierze zależy od tego jak nad sobą pracujemy. Z drugiej strony praca ta będzie nacechowana tym większą gorliwością im gorętszą ku Bogu będziemy pałać miłością. Miłość jednak będzie zawsze celem pracy a nie na odwrót.

Kiedy mówimy, że miłość jest źródłem radości, mamy na myśli radość duchową i nadprzyrodzoną, a więc radość w swej naturze najszlachetniejszą i najczystszą. Jak zobaczymy to poniżej, radości czysto duchowej może towarzyszyć i faktycznie nieraz towarzyszy w pewnej mierze radość uczuciowa. Tę pierwszą jednak mamy na myśli. Rozważmy w jaki to sposób miłość Boża rodzi w duszy radość.

Zacznijmy od doświadczenia. Faktem jest, że osiągnięcie upragnionego dobra czy też obecność osób ukochanych sprawia nam radość. Naodwrót utrata rzeczy nam drogiej, rozłąka z tymi, których kochamy jest dla nas przykrą, bolesną a czasami nawet łzy wyciska. Aby o tym się przekonać, wystarczy przyglądnąć się scenie powitania dziecka z rodzicami po dłuższej rozłące lub stanąć nad mogiłą, gdy do niej składa się kogoś drogiego.

Jak to sobie tłumaczyć? Skąd wypływają te strumienie radości lub jej przeciwieństwo — smutek?

Nam chodzi obecnie tylko o radość. Miłość potrafi nam to wyjaśnić. „Radość rodzi się z miłości bądź to wtedy gdy dobro ukochane jest obecne, bądź też również gdy dobro ukochane (przez nas) posiada własne dobro i to dobro zacho-

wuje"[3]). W tych słowach św. Tomasza z Akwinu mieści się wytłumaczenie postawionego zagadnienia.

Radość powstaje wówczas, gdy wchodzimy w posiadanie jakiegokolwiek dobra. Rodzi się z obecności dobra ukochanego, gdy ono staje się naszym. Dzieje się to wtedy, gdy posiadając je, mamy świadomość jego dobroci[4]). Miłując dobro stajemy się pod pewnym względem jedno z nim. Ono staje się jakby drugim naszym „ja" albo przynajmniej jego cząstką. Stąd też z chwilą gdy z nim się połączymy i ono staje się naszą własnością, bogacimy się duchowo. Za tym idzie radość i zadowolenie. Przeciwnie, gdy dobro ukochane tracimy przez rozłąkę, nasze „ja" maleje i ubożeje, powstaje w nas próżnia, co powoduje niezadowolenie i smutek.

Posiadanie ukochanego dobra na własność, oto skąd płynie radość! Jakość jej zależeć będzie od tego, jakiego rodzaju dobra kochamy. Są dobra małe, wielkie, wreszcie istnieje Dobro Nieskończone. Sama Dobroć. Słowem jest w nich pewne stopniowanie. Podobnie rzecz się ma z miłością i wypływającą z niej radością.

Nas obchodzi tu miłość dobra najwyższego i nadprzyrodzonego, miłość Boga. Jest ona naj-

---

3) Gaudium enim ex amore causatur vel propter praesentiam boni amati, vel etiam propter hoc quod ipsi bono amato proprium bonum inest et conservatur (II-II, q. 28, a. 1).

4) Przez „dobro" rozumiemy nie tylko te rzeczy, które są dla nas pożyteczne czy miłe, ale wogóle to wszystko co jest dobrem samo w sobie i jako takie godne miłości (bonum honestum).

wyższą w hierarchii możliwych miłości. Ma w sobie coś z tej miłości, jaka istnieje w Bogu między poszczególnymi osobami. Do takiej miłości jesteśmy zdolni jedynie dzięki nadprzyrodzonej pomocy, jaką jest łaska i od niej nieodłączna cnota miłości: *miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który jest nam dany*[5]). O własnych przyrodzonych siłach na taką miłość w żaden sposób nie potrafilibyśmy się zdobyć. Nie tylko my ludzie, ale w ogóle żadne stworzenie, choćby było nie wiedzieć jak doskonałe. Jest to bowiem miłość nadziemska, nadprzyrodzona.

Przez miłość tego rodzaju wchodzimy w ścisłą łączność z całą Trójcą Świętą. Bóg w nas mieszka, już nie jako ten, który wszystko stworzył i ustawicznie przy istnieniu utrzymuje, ale jako gość, jako przyjaciel, z którym możemy po przyjacielsku obcować: *a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim*[6]).

Z tej obecności Boga w naszych duszach przez miłość nadprzyrodzoną rodzi się radość, mająca w sobie również coś nadziemskiego. Jeśli posiadanie dóbr cząstkowych raduje nas, to cóż dopiero należy powiedzieć o dobru nieskończonym. A my przez cnotę miłości to dobro rzeczywiście i prawdziwie posiadamy na własność. O Bogu przebywającym w duszach naszych przez miłość możemy powiedzieć, że jest naszą wyłączną

5) Rzym. V, 5.
6) I. Jan IV, 16.

własnością. On cały nasz. Każdy może się do Niego odzywać: mój Bóg! moja własność. Każdemu, kto Go kocha Bóg oddaje się na własność.

Miłość Boża nadprzyrodzona, będąca uczestnictwem w miłości Boga samego, jest najdoskonalszą ze wszystkich możliwych miłości, jakie można spotkać u stworzeń i żadna, nawet najszlachetniejsza z miłości przyrodzonych jej nie dorówna. Podobnie rzecz się ma z radością z niej wypływającą.

Ona jest odbiciem i uczestniczeniem w radości, jaką Bóg sam od wieków się raduje. Przez miłość Boga — mówi pewien kaznodzieja — zasiadamy do uczty z Bogiem samym. Ona pozwala nam kosztować tych dóbr, którymi Bóg sam się odżywia. Wskutek ścisłego zjednoczenia się z Bogiem przez cnotę miłości, radości Boga ustawicznie przenikają i wsączają się do naszych dusz. Stają się naszymi radościami. Jako duchowe i nadprzyrodzone, zalewają one najgłębsze tajniki dusz. Stąd nie koniecznie muszą podpadać pod naszą świadomość i nie koniecznie musimy je odczuwać. Przejawiają się przede wszystkim, jako pogoda ducha, wewnętrzne zadowolenie. Z chwilą, kiedy ze wzrostem miłości i ta radość duchowa zacznie przybierać coraz większe rozmiary i kiedy dojdzie do wysokiego stopnia, może udzielić się także naszej uczuciowości. Dzięki ścisłej łączności duszy z ciałem możliwym jest wzajemne na siebie oddziaływanie i komunikowanie sobie swych dóbr. Wielka radość duchowa zwyczajnie przelewa się na nasz

organizm, ogarnia naszą stronę uczuciową i staje się dla nas odczuwalną. Z tym faktem spotykamy się u świętych. Bardzo wyraźnie widać to u św. Stanisława Kostki. Radość uczuciowa, jako odczuwalna więcej też na nas działa i więcej nas w pierwszej chwili pociąga. Sama w sobie jest jednak mniej doskonałą od radości duchowej. Ta ostatnia przewyższa ją pod każdym względem. Jest szlachetniejszą, czystszą, głębszą, trwalszą.

W radości duchowej możliwym jest stopniowanie. Może ona być mniejszą lub większą. Pełnię radości osiągniemy dopiero w życiu przyszłym, gdzie przez widzenie błogosławione, wszystkie nasze pragnienia zostaną w zupełności zaspokojone. Dopóki jednak żyjemy tu na ziemi, ta radość może wzrastać. Zależeć to będzie od wzrostu w nas miłości Bożej. Ona będzie jej miarą. Miłość nasza względem Boga może być mniej lub więcej doskonała. Kochać, to znaczy chcieć komuś dobra. „Velle alicui bonum". O ile dobra danego chcemy dla samych siebie, mamy do czynienia z miłością interesowną. Jeżeli natomiast chcemy dobra dla kogoś drugiego, jest to miłość bezinteresowna — miłość życzliwości.

To rozróżnienie odnosi się też do miłości naszej względem Boga. Możemy Boga kochać w sposób interesowny, widząc w Nim nasze osobiste szczęście, albo też kochać go dla niego samego, dlatego że jest Dobrocią samą. Pięknie tę różnicę wyraził św. Franciszek Salezy, kiedy powiedział,

że należy szukać Pana Boga w raju, a nie raju Pana Boga.

Jest różnica pod względem doskonałości między tymi dwoma rodzajami miłości. W pierwszym wypadku kochamy Boga prawdziwie. Jest to miłość dobra i nadprzyrodzona, ale jest mniej doskonałą. Przeciwnie, miłość mająca na uwadze tylko Boga samego, jest doskonałą. Kochając Boga taką miłością, nie tylko stawiamy go ponad wszystkimi innymi dobrami, ale główną pobudką miłości jest jego dobroć, a nie nasze szczęście. Bóg staje się dla nas wszystkim. Jakby słońcem naszego życia. Wszystko co ma styczność z Bogiem, staje się nam drogim, a wrogim to, co Bogu się sprzeciwia. Nie mogąc niczym przyczynić się do jego szczęścia, miłość tego rodzaju przynagla nas, byśmy się starali o jego chwałę zewnętrzną. Pod wpływem takiej miłości gotowi jesteśmy na wszystko, czegoby Bóg od nas zażądał. Nawet gdyby chodziło o ofiarę z życia.

Taka miłość staje się źródłem radości najszlachetniejszych. Ona może dać szczęście najwyższe, o jakim tu na ziemi można marzyć. Wprawdzie i miłość Boga, jako źródła naszego szczęścia również rodzi radość, ale w mniejszym stopniu. Kochając Boga jako dobro nasze, cieszymy się, że kiedyś on stanie się naszym udziałem, że będziemy razem z nim szczęśliwymi. Mając świadomość sumienia, że jesteśmy w stanie łaski, a więc na dobrej drodze do celu ostatecznego, czujemy się zadowoleni. Pokój wewnętrzny gości w naszych duszach. Gdy jednak miłość

nasza posunie się dalej, gdy na pierwszy plan wysuniemy Boga, kochając Go jedynie dla niego samego, miłością życzliwości, wesele nasze się wzmaga. Wówczas sam Bóg i wszystko, co Boga dotyczy sprawia nam radość. Cieszymy się tym, że Bóg istnieje. Że jest najdoskonalszą istotą, że jest wszechmocny, szczęśliwy i że tego szczęścia nikt Mu nie odbierze, ani nie umniejszy. Słowem, szczęście Boga staje się szczęściem tych, którzy go kochają dla Niego. Najwięcej radości sprawia im to, że Bóg jest szczęśliwy. Jest to największa radość, jakiej człowiek może dostąpić tu na ziemi[7]). Nic takiej radości nie potrafi w duszy zamącić. Ona nie ma w sobie domieszki smutku podobnie jak dobro którym się raduje nie ma w sobie domieszki zła[8]). Do takiej radości nawołuje św. Paweł, kiedy w swych listach tak często o niej mówi. Ona jest przedsmakiem radości, jaka nas czeka w życiu przyszłym. *Ta czysta radość duszy weselącej się, że Bóg, któ-*

---

7) De Deo potest esse spirituale gaudium dupliciter: uno modo secundum quod gaudemus de bono divino in se considerato; alio modo secundum quod gaudemus de bono divino, prout a nobis participatur. Primum autem gaudium melius est, et hoc procedit principaliter ex charitate; sed secundum gaudium procedit ex spe, per quam expectamus divini boni fruitionem; quamvis etiam ipsa fruitio, vel perfecta vel imperfecta, secundum mensuram charitatis obtineatur (II-II, q. 28, a. 1, ad 3).

8) Ex caritate causatur duplex gaudium de Deo. Unum quidem principale, quod est proprium caritatis, quo scilicet gaudemus de bono divino secundum se considerato; et tale gaudium charitatis permixtionem tristiae non patitur, sicut nec illud bonum de quo gaudetur, potest aliquam mali admixtionem habere (II-II, q. 28, a. 2).

rego nadewszystko miłuje, posiada w sobie pełnię doskonałości i szczęścia, jest potężnym środkiem postępu w życiu wewnętrznym, jest niejako rozpylaczem skarbów łaski i nieodzownym znakiem świętości[9]). Taką radość spotykamy w życiu Świętych. Nie powinno nas dziwić, gdy czytając żywoty Świętych stajemy wobec faktów pozornie ze sobą sprzecznych. Z jednej strony życie pełne ofiary, poświęcenia, zaparcia, przeciwności, niedomagań fizycznych czy przejść moralnych. Z drugiej, pokój, pogoda, zadowolenie, radość nieraz wprost nie do opisania. Trudno nam nieraz pojąć, czym właściwie ci Święci tak się weselą. Przecież po ludzku sądząc nic takiego nie mają coby im mogło radość sprawiać. Weźmy pod uwagę takiego św. Franciszka z Asyżu. Zaparcie się, ubóstwo posunięte do możliwie najwyższych granic, oderwanie się od wszystkiego, za czym zwykliśmy się uganiać, oto cechy charakterystyczne jego życia. Równocześnie jednak widzimy, jak radość przeogromna rozpiera jego serce. Radość wprost żywiołowa, młodzieńcza, objawiająca się na zewnątrz w całym jego postępowaniu. Czym to tłumaczyć? Wielkim umiłowaniem Dobra Najwyższego — Boga. Obecnością Boga w jego duszy przez miłość. Święci zrozumieli, że Bóg godzien jest największej miłości i ukochali Go *z całej duszy, z całego serca, z całego umysłu swego, ze wszystkich sił swoich* i to

9) Ks. Żychliński, Życie wewnętrzne, str. 220.

stało się dla nich źródłem niewyczerpalnym radości nadziemskiej.

Radość, o której mówimy jest, że się tak wyrazimy, najlepszego gatunku. Wypływa bowiem z najczystszego źródła, z nadprzyrodzonego umiłowania Boga. Jako owoc miłości, dostosowuje się ona w swej doskonałości do drzewa, na którym wyrasta. Doskonalsza, szlachetniejsza miłość, czystszą, doskonalszą rodzi radość. Miłość nadprzyrodzonego porządku rodzi radość nadziemską. Tę, o której właśnie mówiliśmy. Miłość czysto naturalna, ta zwyczajna „ludzka", na którą patrzymy codziennie, która wiąże rodziny, przyjaciół i t. p., ona również ma swoje radości i to bardzo szlachetne, które jednak nie mogą dorównać pierwszym. Może ona dać dużo człowiekowi, ale tylko wtedy, gdy będzie uporządkowana należycie, czyli gdy będziemy kochać tylko to, co jest godne miłości i w takiej mierze, jak na to zasługuje. Zachowanie tego porządku wymaga kontroli i czuwania z naszej strony. Jedynie wtedy miłość naturalna może przynieść prawdziwą radość. Miłość nie kontrolowana i nieuporządkowana, radości godnej człowieka dać nie potrafi. To, co ona niesie ze sobą i za czym wielu się ugania, to tylko pozory radości i szczęścia, kryjące na dnie gorycz, niesmak, niezadowolenie. Dużo się mówi o miłości, lecz nie u wszystkich jest ona należycie uporządkowana, wielu ma ją na ustach, każdy ma jakiś przedmiot miłości, ale nie wielu jest takich, co prawdziwie po ludzku kochają. Nic też dziwnego, że nie wszystkim da-

je to, coby dać mogła, a często nawet bywa przyczyną nieszczęść i tragedyj życiowych. Są to skutki jej nieuporządkowania.

Miłość nasza ludzka winna być nie tylko uporządkowana, ale nadto uszlachetniona miłością Bożą. Tego domaga się nasza godność dzieci Bożych. Nie trzeba bowiem sądzić, że miłość Boża wysusza serce człowieka, że je znieczula na wszystko, co piękne i szlachetne w porządku naturalnym. Przenigdy. Miłość Boża uszlachetnia wszelką inną miłość. Nie ostoi się tylko w niej miłość zła, nieuporządkowania. Nikt lepiej i czulej nie potrafi kochać od tych, co Boga kochają. Najpiękniejsze przyjaźnie kwitły zawsze pośród Świętych. To dowód oczywisty, że miłość Boża wzmacnia, uszlachetnia, powiedzmy „uczłowiecza“ wszelką miłość przyrodzoną. To samo dzieje się z radością. Dla kogo Bóg jest źródłem radości, ten potrafi znaleźć ją także w dziełach Bożych. Lecz będzie to radość uszlachetniona, czystsza, i t. p., lecz równocześnie bardzo ludzka i naturalna. Wzorem takiej radości może być znów dla nas święty Franciszek z Asyżu. To, co dla artystów jest źródłem rozkoszy, i jemu dawało radość i on tem się rozkoszował, lecz doskonalej.

***

Miłość, oto źródło radości i szczęścia. Szczęście prawdziwe w nas jest. To znaczy w Bogu, mieszkającym w nas przez miłość. Jeśli chcemy zakosztować wesela prawdziwego tu na ziemi,

jeśli chcemy zaznać prawdziwego szczęścia, kochajmy prawdziwie. Boga w pierwszym rzędzie i nade wszystko. A radość nieomylnie i na pewno zagości do dusz naszych i poznamy i doświadczymy „jak słodki jest Pan".

Miłość jest naszym pierwszym obowiązkiem. Wielkie przykazanie Chrystusa do niej nas zobowiązuje. Radość, jako jej towarzyszka nieodstępna, tym samym staje się również dla nas obowiązkową. Jak zdrowa cera normalnie jest oznaką zdrowia fizycznego, tak radość duchowa jest oznaką zdrowia duszy. Troszczmy się o zdrowie duszy, zasadzające się na cnocie miłości, a ono ujawni się na zewnątrz przez radość nadprzyrodzoną. *Radujcie się w Panu, jeszcze raz mówię radujcie się.*

O. Romuald Kostecki O. P.

ŚW. PAWEŁ JAKO MISTYK

(na uroczystość Nawrócenia św. Pawła).

Wiek XX, — szczególnie po Wielkiej Wojnie — lubi ruch, sporty, raidy, wyścigi, metche, awanturnicze wyprawy, ryzykowne przedsięwzięcia. Z drugiej strony — rzecz znamienna! — widzimy, zwłaszcza na Zachodzie, wyraźny zwrot ku mistyce w szerszym, tradycyjnym znaczeniu: nie mistykę nadzwyczajności, widzeń, ekstaz i porywów, — lecz mistykę najściślejszego zjednoczenia się z Chrystusem Panem, „l'identification au Christ Jésus", mistykę, której „klasykami" są św. Jan od Krzyża i św. Teresa z Avili, a której ojcem jest niezaprzeczenie św. Paweł Apostoł, największy mąż czynu i najpierwszy mistyk w Kościele katolickim.

Niedawno wyszło w Paryżu dwutomowe dzieło kanonika z Vannes w Bretanii, Henryka Morice, p. t. *„La vie mystique de St. Paul"* (Paris, Téqui, 1932-1933). Że książka ta odpowiadała potrzebom chwili, dowodem, że pierwsze wydanie zostało wyczerpane w przeciągu kilku tygodni; autora zaś uwieńczono laurem akademickim.

Św. Paweł był mistykiem i w ściślejszym znaczeniu, tak przez łaski nadzwyczajne jakie otrzymał, jak i przez specjalny charakter nauki i pobożności swojej. Dość otworzyć list jego do Galatów, aby się o tym przekonać: „Albowiem oznajmuję wam, bracia, iż Ewangelia, która jest przepowiadana odemnie, nie jest wedle człowieka, bom jej ja nie od człowieka wziął, anim się nauczył: ale przez objawienie Jezusa Chrystusa" (I, 11-12). Apostoł mówi tu wyraźnie, że nie był nauczony od ludzi, lecz przez objawienie boskie. Chociaż nie oglądał Chrystusa oczyma ciała i nie słyszał nauk Zbawicielowych, wniknął w myśl Jego równie głęboko, — a może i głębiej — niż św. Piotr a nawet św. Jan: „Podobało się bowiem Bogu objawić mu Syna swego" (tamże 15-16).

Mistycyzm św. Pawła nie był warunkiem jego świętości: wszak wielu jest Świętych, którzy nigdy nie doznali łask nadzwyczajnych, a wznieśli się na szczyty najwyższej doskonałości; wiadomym jest, że gratiae gratis datae nie są konieczne do uświęcenia. Ale łaski te nadają całej osobistości św. Pawła pewną cechę, pewien charakter, pewne swoiste zabarwienie; odbijają się na jego ascezie, na jego apostolstwie, na jego pismach zwłaszcza. Chrystus nie jest dlań wzorem „z zewnątrz", który usiłuje jak najwierniej odtworzyć w sobie, — jest On duszą jego duszy. Gdy Paweł przemawia, gdy pisze, — to Chrystus posługuje się jego usty lub kieruje jego piórem; to nie Paweł już żyje, ale żyje w nim Chrystus.

Ks. kanonik Morice ma piękną przeszłość literacką za sobą: kilkanaście dzieł, nie tylko treści wyłącznie religijnej: są między nimi i książki z dziedziny etyki, pedagogii, literatury pięknej. Forma ich — niezależnie od treści — jest tak wytworna, że spotkało autora najwyższe we Francji literackie odznaczenie: został trzykrotnie uwieńczony przez Akademię francuską. Ciekawym jest, że laureat od lat kilku stracił prawie zupełnie wzrok, i tylko dzięki kolosalnej wytrwałości i pracowitości jest w stanie z pomocą obcą przelewać swe piękne i głębokie myśli na papier, podobnie jak u nas śp. ks. Arcybiskup Mańkowski, który w ostatnich latach życia straciwszy wzrok, wzbogacił polską literaturę religijną kilku pięknymi dziełami i wzorowymi przekładami.

Ks. kanonik Morice przedstawia kolejno św. Pawła jako męża modlitwy, Doktora i miłośnika Chrystusa, jako ascetę, Apostoła i wreszcie człowieka[1]).

I.

Zaczyna się od sceny nawrócenia, którą św. Łukasz tak plastycznie opisał w Dziejach Apostolskich (rozdz. IX).

Szaweł z Tarsu, „parskając groźbą i morderstwem przeciw uczniom Pańskim“, śpieszy do Damaszku, aby „je związane przywiódł do Jeruzalem“, przed Sanhedryn, najwyższy trybunał re-

1) Tome I: Le Contemplatif, le Docteur, l'Amant du Christ. Tome II: L'Ascète, l'Apôtre, l'Homme.

ligijny u Żydów. Ten gorliwy faryzeusz, fanatycznie przywiązany do litery prawa Mojżeszowego, uważał Jezusa za niebezpiecznego nowatora, a uczniów jego za egzaltowanych sekciarzy, których należało wytropić, wytępić, unieszkodliwić, bo zagrażali nieskazitelności ojczystego zakonu.

Już się zbliżał ze swym pocztem do stolicy Syrii; było samo południe, słońce prażyło żarem; orszak znużony posuwał się zwolna pustynnym szlakiem, tylko Szaweł jadący butnie na czele snuł w głowie swe mordercze plany.

Nagle zatrzymał konia, zniewolony tajemniczą siłą; oślepiająca jasność ogarnęła grupę jeźdźców; Szaweł jak piorunem rażony padł na ziemię i usłyszał głos z góry: „Szawle, Szawle, przecz mnie prześladujesz?"

„Ktoś jest, Panie?" — zapytał, drżąc cały.

„Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz".

Na dźwięk tego imienia, namiętna nienawiść młodego faryzeusza zbuntowała się raz jeszcze. Jak koń nieujeżdżony próbował w myśli wymknąć się, zrzucić uciążliwego jeźdźca — i stanął dęba.

A wtedy głos dodał: „Trudno jest tobie przeciw ościeniowi wierzgać".

Przemawiał zatem ktoś, co znał wszystkie jego poruszenia wewnętrzne, wszystkie najtajniejsze myśli...

Pocóż opierać się dłużej tej nadludzkiej sile? — Pozostaje tylko poddać się jej dobrowolnie.

„Panie — rzekł zdumiony i wstrząśnięty do głębi, — co chcesz abym czynił?“

„Wstań, wnijdź do miasta, a tam ci powiedzą, co będziesz miał czynić“.

Wiemy resztę z Dziejów Apostolskich: to widzenie u bram Damaszku było dla św. Pawła początkiem nowego życia, — życia mistycznego w Chrystusie.

Aby jednak dobrze uchwycić jego charakter, zestawmy je ze sławnym widzeniem św. Jana na wyspie Patmos, opowiedzianym w Apokalipsie (I, 12-16).

„Ujrzałem siedem lichtarzów złotych, a w pośrodku nich podobnego Synowi człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego u piersi pasem złotym. A głowa jego i włosy były białe jako wełna biała i jako śnieg; a oczy jego jako płomień ognia; a głos jego jako głos wiela wód. A miał w swej prawej ręce siedem gwiazd; a z ust jego miecz z obu stron ostry wychodził; a oblicze jego, jako słońce świeci w swej mocy“.

Otóż widzenie św. Pawła jest mniej wyraziste, mniej malownicze od widzenia św. Jana. Prawie nic w nim nie przemawia do oczu: żadnego opisu twarzy, szaty, postawy Pana Jezusa. Mowa jest tylko o „światłości z nieba“; światłość ta, która nawet w samo południe wydawała się olśniewającą, była już sama przez się cudowną[2]). Bla-

2) Niektórzy racjonaliści usiłują w nas wmówić, że św. Paweł był poprostu porażony piorunem z jasnego nieba; inni natomiast próbują tłumaczyć widzenie udarem słonecznym!

skiem i słodyczą swą nie tylko świadczyła o jakiejś nadprzyrodzonej obecności, lecz uzmysławiała niejako dostojność majestatu Bożego.

Wyjaśni nam to pewien ustęp św. Teresy z Avili:

„Jest to światłość nieskończenie różna od wszelkiej ziemskiej światłości, przy jej promieniach, zalewających zachwycone oko duszy, promienie słońca tak tracą swój blask, że nie ma się już ochoty spojrzeć na nie. Między tymi dwoma światłościami jest taka różnica, jak między wodą bardzo czystą, płynącą po jasnym krysztale, w którym się odbija światło słoneczne, a mętną wodą, płynącą po ziemi pod zachmurzonym niebem"[3]).

Dalej widzenie na drodze do Damaszku różni się jeszcze od widzenia na wyspie Patmos tym, co dziś nazywamy obiektywnością.

Wiadomo, że są trzy rodzaje widzeń: zmysłowe, wyobraźniowe i intelektualne. Wszystkie te widzenia, o ile nie są złudne, mają w sobie coś nadprzyrodzonego, ale działają odrębnie: na zmysły (jak wzrok, słuch), na wyobraźnię lub na umysł, — tj. albo pokazują rzecz samą w sobie, albo odbijają jej obraz w wyobraźni, albo dają nam zrozumienie samej istoty rzeczy. Oczywiście wizja intelektualna jest najwyższą z nich, i najmniej podlega złudzeniu.

3) Żywot, str. 337.

Otóż, zdaniem ks. kanonika Morice, widzenie św. Jana było wyobraźniowe, a widzenie św. Pawła było zmysłowe: ujrzał bowiem własnymi oczyma jasność Chrystusową i usłyszał głos jego. Towaszysze Szawła zaś „głos wprawdzie słyszeli, żadnego nie widząc" (Dz. Ap. IX, 7). Niżej zaś (w rozdz. XXII, 9) dodaje Apostoł, że „widzieli światłość" tylko, nie postać Jezusa jak Szaweł, i choć słyszeli głos jakiś, słów nie rozumieli: „głosu nie słyszeli onego, który ze mną mówił".

Zdarza się niektórym osobom na modlitwie, że słyszą głosy tajemnicze. Ale jak się upewnić, iż nie są ofiarą złudzenia? Jak rozróżnić słowa rzeczywiste od wyobraźniowych?

Na to odpowiada św. Teresa: gdy Bóg przemawia, pochłania On całą uwagę, i wbrew wszelkim usiłowaniom nie można go nie usłyszeć; słowa Jego są ważkie i oświecają duszę; ryją się głęboko w pamięci i niesposób ich zapomnieć. Wreszcie sprawiają one to, co oznaczają; jeśli np. Bóg powie: „Nie lękaj się"! — to dusza natychmiast tonie w radości i pokoju" (Żywot, rozdz. XXV).

Wszystko to daje się doskonale zastosować do słów usłyszanych wtedy przez św. Pawła. Słowa te noszą cechę specyficznie Bożą: prostotę i skuteczność.

Głos Jezusowy nie zabrzmiał tylko wewnętrznie w duszy Szawła: przyszedł on z zewnątrz, skoro go i inni słyszeli. Apostoł nie mówi nam,

jakie na nim wywarł wrażenie, ale możemy w tym względzie powołać się na innych mistyków, nawiedzanych podobnymi łaskami. Głos Boży, mówi np. św. Jan od Krzyża, jest potężny jak grzmot, a jednocześnie posiada niewypowiedzianą słodycz; jest on jak muzyka najrozkoszniejsza, która czaruje duszę, podobna do dźwięku harfy i cytry razem granych przez biegłego artystę (Cant. spir. p. 95).

Do końca życia swego Paweł miał zostać pod silnym wrażeniem tej chwili, a raczej chwila ta zaważyła na całym jego życiu, tak doczesnym jak i wiecznym; ona to nadała kierunek jego myśli, polot jego duszy; wspominał o niej chętnie, z płomienną miłością i cudowną pokorą: była dlań epokową.

Gdy powstał po omacku z ziemi, na którą był runął, „otworzywszy oczy, nic nie widział", był ślepym. Przerażeni towarzysze, „wzięli go za ręce i wwiedli do Damaszku", na ulicę Prostą, do domu niejakiego Judy, gdzie spędził trzy dni w wielkim niepokoju i trwodze: „nie widząc, i nie jadł ani pił".

Co się musiało dziać w sercu i w umyśle tego zawziętego wroga imienia Chrystusowego, po takim z Jezusem spotkaniu? Widział Go tam za miastem, słyszał Go, rozmawiał z Nim... A byłto ten skazaniec Piłata, ten zbrodniarz i buntownik przygwożdżony do krzyża i pochowany przez uczniów w skalnym grobie, o którym mówiono, że trzeciego dnia zmartwychwstał? — I to On jest Mesjaszem oczekiwanym przez wieki, przepowia-

danym przez Proroków, Zbawicielem rodzaju ludzkiego?

Trzeciego dnia po widzeniu na drodze do Damaszku, ukazał się Ananiaszowi Bóg w tymże mieście, kapłanowi niezwykłej świątobliwości, i kazał mu iść do Szawła, włożyć nań ręce i uzdrowić go. „Szawle, bracie, — rzekł Ananiasz, ujrzawszy ociemniałego, — Pan mnie posłał, Jezus, któryć się ukazał na drodze, którąś szedł: abyś przejrzał i był napełnion Duchem Świętym". A natychmiast spadły z oczu jego jako łuski, i zaś przejrzał: a wstawszy ochrzczon jest" (Dz. Ap. IX, 17-18).

Ten symboliczny cud jest obrazem tego, co się działo wtedy w duszy Szawła: moralnie bowiem i figurycznie przechodzi on z ciemności do światła; serce i umysł jego otwierają się na światło Boże, jak oczy na światło ziemskiego słońca. Przed swym nawróceniem widział źle, sądził błędnie: Bóg go oślepia, aby go oświecić, — tak jak w życiu mistycznym „ciemna noc" zmysłów i ducha wyprzedza ostateczne oświecenie duszy, która osiągnęła szczyty zjednoczenia.

***

Nauczony własnym doświadczeniem, św. Augustyn pisze, że „przetworzyć grzesznika w sprawiedliwego, to większe i trudniejsze dzieło, niż stworzyć niebo i ziemię" (Tract. in Joan. 72). Bowiem nawrócić się, to nie tylko zmienić poglądy, ale stosunki, nieraz położenie społeczne i ma-

jątkowe, a nade wszystko — życie. Aby iść za głosem Bożym, musiał Szaweł zerwać z dotychczasowymi przyjaciółmi, a może i rodziną zapamiętale faryzejską, skazać się na ubóstwo i niedostatek (będzie robił namioty, aby zarobić na utrzymanie), narażać się na niepopularność, może nawet i na śmierć...

Nie zawahał się ani chwili, choć objął myślą wszystkie te możliwości. Nawrócenie jego było nie tylko piorunującym, było ono całkowitym, w objęciu wszystkich skutków tego decydującego kroku. Inni konwertyci przechodzą fazy wahania, namysłu; ważą roztropnie wszystkie pro i contra. Mgr. Benson zastanawiał się przez lat 11 zanim uczynił krok ostateczny; kardynał Newman wahał się jeszcze dłużej. Nic podobnego u Szawła: łaska zwaliła z konia zaciętego faryzeusza; powstał stuprocentowy chrześcijanin. Wiara u niego tliła długo jak iskierka, lecz „wybuchnęła jak eksplozja".

A było to nawrócenie nie tylko nagłe i nieoczekiwane, ale całkowite i trwałe. Bywają konwertyci, co przylgnęli do Boga, lecz niezupełnie oderwali się od świata. „Wczoraj tańczyła jako protestantka, a dziś tańczy jako katoliczka!" mówiono kiedyś z przekąsem o młodej osobie z najwyższego towarzystwa, która zmieniwszy religię, nie zmieniła pustego światowego życia. Niektórzy nawróceńcy próbują wyboru pomiędzy dogmatami lub przykazaniami: „W to będę wierzyć, a w to nie; ten przepis zachowam, a tego nie". To są tylko pół-konwertyci, i ci rzadko kiedy

wytrwają do końca w swym pięknym przedsięwzięciu: załamią się pod pierwszą trudnością.

Szaweł, skoro tylko odzyskał cudownie wzrok za włożeniem rąk Ananiaszowych, — „wstawszy ochrzczon jest". „Wstawszy" oznacza bezzwłoczną gotowość na wszelką wolę Bożą. Toteż „natychmiast", jak pisze św. Łukasz, „w bóżnicach Damaszku opowiadał Jezusa, iż ten jest Synem Bożym" (Dz. Ap. IX, 20).

I nie była to gorliwość neofity, przemijająca z biegiem czasu; nie był to entuzjazm romantyka, którego później życie miało ostudzić. Ogień, co rozgorzał w sercu Szawła nie tylko nie przygasł z latami, ale rozmógł się w wielki pożar, mający zapalić tysiące i miliony innych serc, i rozżarzać je będzie poprzez wieki, dopóki istnieć będą nieśmiertelne Listy Pawłowe, dopóki trwać będzie Chrystusowy Kościół.

Nawrócenie św. Pawła jest zatem cudem, i tłumaczy się tylko osobistą interwencją Chrystusa. „Boski czarodziej dusz" stanął nagle przed swoim przyszłym Apostołem w całej swej piękności i chwale, a siła pociągająca, co biła od Niego, była tak potężną, że został oczarowany, — „uchwycony od Chrystusa Jezusa", — jak pisze w liście do Filipensów III, 12. Z jasnością wykluczającą wszelką wątpliwość uczuł działanie łaski w sobie: w jednej chwili oświeciła ona jego umysł, oczyściła serce, poruszyła wolę. A jeśli to prawda, że mistycyzm, to świadomość działań Bożych w nas, to można powiedzieć, że widzenie

Szawła na drodze do Damaszku było jego pierwszym przeżyciem mistycznym:

„Podobało się Bogu objawić nam Syna swego" (Gal. I, 15-16).

S. M. R. Niepokalanka

Teksty klasyczne

Św. Augustyn: O święcie Trzech Króli*).

1. Przyczyna i uzasadnienie uroczystości.

Najmilsi, opowiadanie ewangeliczne oraz zwyczaj obchodzenia dzisiejszej uroczystości ujawnia nam niejednokrotnie przyczynę i uzasadnienie tego święta. Ani nie jest koniecznym roztrząsanie i odtwarzanie scen, które się wydarzyły w początkach ludzkiego istnienia naszego Zbawiciela, jakimi są: rozblask nowej gwiazdy, królowie i ich dary, srogość Heroda i zabójstwo niewiniątek, gdyż jak wiecie: jasność gwiazdy oznacza łaskę Bożą, trzej królowie — powołanie niewiernych ludów, bezbożność króla — okrucieństwo pogan, a zabójstwo niewinnych dziatek jest obrazem wszystkich Męczenników. Ale, ponieważ w dniu świątecznym potrzebne jest nakarmienie dusz waszych słowem Bożym, którego głoszenie jest powinnością kapłańską — będziemy się starali, abyśmy przy pomocy Ducha Bo-

---

*) Append. t. V, cl. I, serm. 133.

żego, krocząc drogą rozważania, mogli zrozumieć, że tajemnica dzisiejszego święta rozciąga się do czasów wszystkich wiernych i żadną miarą nie trzeba uważać za nowość tego, co w porządku rzeczy doznaje czci od dawna.

2. Konieczność Wcielenia.

Chociaż każdy chrześcijanin winien być wolny w swej wierze od jakiegokolwiek błędu, któryby ubliżał majestatowi Syna Bożego, i poznawszy pierwsze zasady wiary, powinien je jak najdokładniej zgłębiać, to jednak gdy chodzi o przyjęcie Chrystusa za prawdziwego człowieka oraz Jego połączenie się z naturą naszą, należy obawiać się niedołężności ludzkiego umysłu i do poznawania Bóstwa równego Ojcu trzeba przystępować ostrożnie, przyglądając się podobieństwu wzrostu i rozwoju ciała.

Gdy wpośród zamglonych myśli rozbłyśnie promień boskiego światła, wnet blask prawdy rozprasza wątpliwość chwiejącej się wiary, aby serce, oswobodzone z więzów światła zmysłowego, mogło kroczyć za światłem rozumu jak za gwiazdą przewodnią. Apostoł powiedział: *„Pan Jezus Chrystus w chwale Boga Ojca jest"* (Filip. II, 11), aby ten sam (Jezus), który doznawał czci, gdy pokornie leżał w żłóbku był uwielbiony, jako król, na równi z Ojcem.

Najmilsi, takie objawienie, które usuwa mgły chwiejnych dusz i uprzystępnia nam poznanie Syna Bożego w ten sposób, że możemy Go na-

zwać zarazem Synem człowieczym bez uszczerbku dla obojga pojęć — należy do godności dzisiejszego święta. Wtedy mowa o dziecięctwie bóstwa Zbawiciela staje się prawdą, gdy poznanie nasze przeniesiemy z człowieczeństwa na bóstwo, aby zmysły, które podlegają słabościom, przyjęły na się znamię mocy, albowiem takiego dźwignięcia domagało się pochodzenie i natura nasza, iż do naprawy rodzaju ludzkiego nie wystarczała sama niskość bez majestatu, ani majestat bez pokory.

3. Nikt nie może być zupełnie pewny.

Jeśli postępkom poszczególnych wiernych towarzyszy straż boskich przykazań, iż spełniają się słowa: *„tak niech świeci światłość wasza przed ludźmi, aby, widząc wasze uczynki dobre, chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech“* (Mat. V, 16); to któż nie uzna obecności Bóstwa tam, gdzie widzi ślad prawdziwej mocy; tej mocy, która zaprawdę bez Boga jest niczem i nie może mieć (w sobie) iskry bożej skąd inąd, jak tylko za sprawą twórczo-ożywczego Ducha.

Po wypowiedzeniu przez Pana Jezusa do uczniów tych słów: *„bezemnie nic uczynić nie możecie“* (Jan XV, 5), nie ma żadnej wątpliwości, że tak skutek dzieła jak i pierwsze poruszenie woli człowieka, pełniącego dobre uczynki, mają swe źródło w Bogu. Stąd to Apostoł jak najusilniej upomina wiernych: *„Z bojaźnią i drżeniem sprawujcie zbawienie wasze; albowiem Bóg jest ten,*

który sprawuje w was i chcenie i wykonanie wedle dobrej woli" (Filip. II, 12-13). I to właśnie było powodem drżenia i obaw Świętych, aby, będąc wyniesionymi na wyżyny przez same dobre uczynki nie byli pozbawieni pomocy łaski i nie musieli opierać się na własnych siłach słabej natury.

4. Oznaki zamieszkania w nas Boga. Miłość matką wszystkich cnót.

Kto chce dowiedzieć się czy w nim mieszka Bóg, o którym powiedziano *„dziwny Bóg w świętych swoich"* (Ps. LXVII, 36), niech podda serce swoje sumiennemu roztrząsaniu i dokładnie zbada: jaką pokorą przeciwstawia się pysze; z jakim natężeniem dobrotliwości walczy z zazdrością; jak dalece daje się zwodzić pochlebcom i jakiego doznaje upodobania w zaletach innych. Czy za złe nie pragnie złem odpłacać, czy nie chce zapomnieć niepomszczonych krzywd, i czy nie zaciera obrazu i podobieństwa Stwórcy, który pobudzając nas do poznania Go wszelakimi stworzonymi dary *„zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych i sprawia, że słońce wschodzi na dobrych i na złych"* (Mat. V, 45). Niech pilnie patrzy, aby, zajmując się wielu sprawami szukał w tajnikach swojego serca samej miłości — matki wszystkich cnót; i gdy ją znajdzie oddaną miłosierdziu Boga i bliźniego tak, iż zechce darzyć nieprzyjaciół tym, czego pragnie dla siebie, wtedy ktokolwiek nim by był, niech wie,

że Bóg jest jego rządcą i domownikiem, którego tym wnętrzniej będzie posiadał, im bardziej u siebie będzie się nim rozkoszował; albowiem tylko do tych stosują się słowa: „*Królestwo Boże w was jest*" (Łuk. XVII, 21), co są rządzeni duchem tego, którego podlegają rozkazom.

Najmilsi, pomnąc tedy na to, że miłością jest Bóg, który wszystko działa, we wszystkim starajmy się o miłość, tak iżby w jedno ognisko miłości zbiegły się serca wszystkich wiernych. Oddalmy od siebie rzeczy znikome, aby nas nie pochłonęła marność, a uzbrojeni w silną wolę zdobywajmy to, co nigdy nie przeminie. Treść bowiem dzisiejszego święta musi w nas trwać zawsze, bez końca; co się i urzeczywistni wiekuiście, jeśli we wszystkich czynnościach naszych będzie się przejawiał Chrystus, który żyje i króluje z Ojcem i Duchem św. na wieki wieków. Amen.

Wzory do naśladowania

Prawdziwy apostoł (śp. biskup Zygmunt Łoziński [† 1932]).

„Jedyną drogą świętości i najlepszą cząstką jest słuchanie głosu Bożego i doskonałe posłuszeństwo. Trzeba usiąść u nóg Pańskich i słuchać, co Pan powie, czego zażąda i, oczywiście „to“ wykonać“[1]).

Tego uczył bp. Łoziński słowem i czynem. Sam, przyzwyczajony za młodu do gorącej modlitwy i codziennych rozmyślań, jeszcze w gimnazium będąc, usłyszał głos Chrystusa: „Pójdź za mną“, więc poszedł prosto z ławy szkolnej do służby Bożej. Miał odtąd jedno zadanie przed sobą: szerzyć Królestwo Boże na ziemi, pracując nad uświęceniem dusz i doprowadzeniem ich do jednej owczarni. Z chwilą otrzymania święceń kapłańskich w r. 1895 w Petersburgu, upragniona droga apostolstwa stanęła przed ks. Zygmuntem otworem.

Różne są sposoby pracowania dla chwały Bożej, a zbawienia dusz ludzkich. W bogatym i uzdolnionym umyśle, w gorącym sercu młodego kapłana, tliło się może określone pragnienie spełnienia obowiązku apostolskiego w ten, a nie inny sposób. Ale równocześnie w wyrobionej wewnętrznie duszy jego była świadomość,

---

1) List pisany z Pińska 15. VIII 1929 r.

że prawdziwy naśladowca Chrystusa musi dać się „opasać i poprowadzić, gdzie on nie chce“[2]).

Widząc w swych przełożonych prawdziwych zastępców Boga, słuchał ich ks. Łoziński i spełniał najpokorniej ich wolę. A wola ta była często bardzo trudna, choć miłosna, jako wola Ojca niebieskiego. Wiedział o tym ks. Zygmunt i dlatego, mimo ciągłego krzyżowania jego ludzkich pragnień, mimo bezustannego zrywania go z jednej rozpoczętej pracy i przerzucania do drugiej, trwał w spokoju, zawsze pogodny, chętny i pełen szczerego humoru. Bo żył on od początku swego kapłaństwa wielką miłością i pragnieniem doskonałości najwyższej. Umysł, serce, wolę naginał wciąż dobrowolnie, ćwiczył przy każdej okazji, ażeby, jak sam potem tego uczył, były one ze spiżu i wosku. „Ze *spiżu,* aby trwały w pokoju i pogodzie, pomimo wszystkie przykrości i trudności, jakie stają z woli Bożej na drodze życia ; a z *wosku,* aby były doskonale posłuszne każdemu przykazaniu bożemu i każdemu poruszeniu łaski bożej ; aby były pełne pokory w przyjmowaniu wszystkich wyroków bożych“[2]).

Wyrobienie takiego charakteru osiągnąć można, zdaniem ks. Zygmunta, przez oddanie się miłosne i ufne Bogu : „Wtedy zyszczemy spokój ducha, a on zrodzi hart i odporność do walki i próby, czyli cierpliwość. W tem leży i warunek i cały sekret szczęścia ziemskiego“.

Dlatego też ks. Zygmunt był szczęśliwy ; nie tym, co w życiu światowym szczęściem zowiemy, ale tym poczuciem pełnienia woli Bożej na każdą chwilę, a tym samym coraz ściślejszego zbliżania się do Boga, do zjednoczenia z Nim.

Jak każdy prawdziwy miłośnik Chrystusa wiedział, że owoców łaski — zjednoczenia nie osiąga się bez zupełnej ofiary. Toteż nie ograniczał się do skła-

---

2) Jan XXI, 18.
3) List z Nowogródka 24. XII 1924 r.

dania ciągłej ofiary ze swej woli, na rzecz woli przełożonych, ale umartwiał, jak mógł swe ciało i swego ducha, naśladując pod tym względem życie surowych zakonów. Posty częste, umartwienia wszelkiego rodzaju, twarde łoże, długie czuwania i nocne adoracje — były w ciągłym zwyczaju ; a ile poza tym ks. Zygmunt Bogu ofiar innych składał i jak pokutował, tego nikt nie wie. Jedno było widoczne dla wszystkich, co go bliżej znali, że nie odmówił nigdy niczego Bogu i że żył tym wielkim pragnieniem wyniszczenia siebie i cierpienia dla Boga. Potwierdził to ks. kardynał Marmaggi, mówiąc po śmierci ks. Łozińskiego do przełożonej jednego Zgromadzenia : „Doprowadził swoje oderwanie się od świata i zaparcie się siebie do ostatecznych granic“[4]).

— — — — — — — — — —

Z takim wewnętrznym usposobieniem stanął ks. Zygmunt do pracy kapłańskiej. Zaraz po wyświęceniu, dzięki niezwykłym zaletom i zdolnościom umysłowym, został profesorem Pisma św. w Seminarium Duchownym w Petersburgu oraz katechetą paru rządowych gimnazjów. Naraził się jednak zaraz władzy moskiewskiej, nie pozwalając swemu bratu na branie udziału w nabożeństwach schizmatyckich. Zostaje zesłany do więzienia w Agłonie[5]) na 3 lata.

Wyrok ten przyjmuje ze spokojem i pogodą, choć musi porzucić tak miłą pracę naukową i profesorską. Już wtedy posiadał, jak to jego kierownik duchowny ks. Witold Czeczott stwierdza, tę „złotą obojętność“, o której św. Ignacy pisze w swych „Ćwiczeniach“, t. j. gotowość pracowania w takich warunkach, w jakich go nakaz przełożonych umieści, bo „nie ma ważniejszej

---

4) „Il a poussé son détachement et son renoncement le plus complet jusqu'aux dernières limites“.

5) Agłona — klasztor podominikański, o parę mil od Dyneburgu, używany na miejsce zesłania dla księży „nieprawomyślnych“.

rzeczy nad to, abyśmy stale szli drogą wybraną dla nas przez Boga" — pisze sam ks. Zygmunt w liście do przyjaciół[6]).

Przez pierwszych 10 lat kapłaństwa zmieniał ks. Łoziński 7 razy miejsce pobytu. Każda nowa placówka nastręczała inny rodzaj pracy ; trzeba było naprawdę dużego talentu organizacyjnego i jeszcze więcej natchnienia Ducha Świętego, ażeby móc się szybko zorientować w nowej sytuacji i nie tracąc ani chwili czasu zabrać się do apostolstwa. Ks. Zygmunt osiągał to z łatwością dzięki temu, że nie ludzi przymierzał do pracy, ale sam zastosowywał swą pracę do potrzeb tych, których spotkał. W każdym bliźnim widział duszę ukochaną przez Boga i odkupioną Najświętszą Krwią Chrystusa, więc szedł ku niej z miłością ; a potem uważał, że nie ma na świecie spotkania obojętnego dla sprawy Bożej, że zatem każdemu, z kim go życie zetknęło, musi coś dać ze siebie, nie to, co on chce, ale czego ten bliźni potrzebuje. A więc do ludu wiejskiego zniżał się, leczył prostymi słowy ich dusze, wspierał materialnie ubogich wedle możności i nade wszystko szerzył oświatę, zaopatrując wieśniaków w książki. Młodzież szkolną kochał czułą ojcowską miłością i dobro jej najbardziej leżało mu na sercu. Toteż był szczęśliwy, gdy danym mu było pracować wśród uczącej się młodzieży. A miał szczególny dar trafiania do młodych dusz ; mimo iż w przestrzeganiu, nie tylko już przykazań, ale nawet zwyczajów kościelnych i kultu, był nieustępliwy. Wszyscy lubili go bardzo, i co ważniejsze, słuchali każdego zlecenia. Kiedy, np. siedząc w konfesjonale podczas nabożeństwa szkolnego zauważył, że młodzież nie klęka na odgłos dzwonka na Podniesienie — wychodził natychmiast i łagodnie, ale stanowczo kazał klęknąć. I dziwne — że

---

6) Ks. W. Czeczot, Diecezja mińska i jej pasterz Zygmunt Łoziński, Wilno 1925.

wszyscy go natychmiast słuchali i nawet nie oburzali się, jak to młodzi lubią.

W Tule i Smoleńsku, gdzie po roku przebywał, potrafił tak wielką zyskać miłość młodych, że żegnając go z żalem, wyprzęgli konie i sami ciągnęli powóz na kolej. Ten wpływ i to przywiązanie młodego kapłana nie uszły uwagi władz rosyjskich, toteż, gdy go z kolei przeniesiono do Rygi na wikarego, zakazano uczenia w szkołach i głoszenia kazań do młodzieży. Ale jednego Moskale zakazać nie mogli: spowiadania. Więc też zabiera się młody kapłan do tej pracy duszpasterskiej z niebywałym poświęceniem. Wkrótce staje się powszechnie znanym i cenionym spowiednikiem i kierownikiem. Ma szczególny dar nawracania do Boga zbłąkanych, a utwierdzania wątpiących. Wystarczyło nieraz uprzedzić go, że dana dusza ma wielkie wewnętrzne trudności, ażeby znalazł niezawodny sposób pozyskania jej całkowicie dla Boga. Miał tę odwagę apostolską zawierania znajomości z osobami niewierzącymi w celu nawrócenia ich, a jeśli chodziło o ciężko chorego ateusza, to nieproszony szedł do niego i nie opuszczał go, dopóki nie pojednał z Bogiem.

Z osobami, którymi kierował, utrzymywał stały kontakt przez korespondencję. Pozwalał pisać ile razy dusza potrzebowała jego pomocy, a odpowiadał zawsze, kiedy to uważał za konieczne i potrzebne dla chwały Bożej. Nie było tak trudnych i niemożliwych okoliczności, żeby nie przyszedł z pomocą listowną chociażby, prawdziwie potrzebującym.

Spowiadał wszystkie stany z równym oddaniem się i wszystkimi posiadanymi językami, a znał ich potocznie 7. Znajomość ta przydała się ks. Łozińskiemu szczególnie w Rydze, gdzie nie mogąc pracować wśród młodzieży szkolnej, oddał się pracy nad najbiedniejszymi robotnikami fabrycznymi. A byli to ludzie wielojęzyczni: Łotysze, Litwiny, Estończycy, Niemcy i nawet Polacy.

Nikt z kolonii polskiej w Rydze nie wiedział, że tak serdecznie udzielający się licznej podówczas w Rydze inteligencji ks. Łoziński, znajduje czas na pracę wśród fabrycznych ludzi. Dopiero kiedy go znów przenoszono, do jednego z adwokatów Polaków przynieśli robotnicy listę z 1.500 podpisami, prosząc o zredagowanie prośby do arcybiskupa o pozostawienie im ich najlepszego ojca i opiekuna.

Po 10 latach tułaczki po wikariatach i probostwach, wraca ks. Zygmunt do pracy profesorskiej do Akademii Duchownej, skąd go jednak znów niezadługo przenoszą do seminarium. Tu otrzymuje na dodatek urząd inspektora. Odtąd oddaje się całą duszą nauczaniu i wychowaniu alumnów. Stara się poznać każdego, odwiedza ich w celach, pomaga w nauce, uczestniczy w zabawach i wchodzi w potrzeby duchowe i materialne. Nie jest to jednak jedyna praca ks. Zygmunta w Piotrogradzie. Mianowany kanonikiem honorowym mohylewskim i kapelanem kościoła św. Jana („Maltańskiego"), pracuje gorliwie nad inteligencją i młodzieżą akademicką: kazaniami, spowiedzią i wykładami z Pisma św. Szczególnie ten ostatni sposób pracy wydaje nadzwyczajne owoce.

Podczas wakacyj dobrowolnie towarzyszy biskupom w wizytacjach, poznając w ten sposób rozległe zakątki Rosji europejskiej i azjatyckiej. W 1909 r. dotarł ze śp. bp. Cieplakiem aż na Sachalin.

Korzystając ze znajomości stosunków syberyjskich i języków europejskich, zostaje ks. Zygmunt wysłanym na początku wojny światowej na objazd obozów koncentracyjnych dla dodania otuchy i przyjścia z pomocą jeńcom i zakładnikom.

Przebywając wśród jeńców na Syberii, organizuje z polecenia biskupa Cieplaka specjalną komisję, której jest prezesem. Wkrótce zostaje powołany cały szereg gorliwych kapłanów, którzy w roli misjonarzy docierają do najdalszych zakątków Rosji, niosąc pomoc duchową i nieraz materialną.

Gorliwa i umiejętna praca apostolska i misyjna nie uszła uwagi duchowieństwa, tak, że w r. 1917 wysłany zostaje do Ojca św. list z prośbą mianowania ks. Łozińskiego arcybiskupem mohylewskim. Na skutek zamieszek wojennych list przychodzi do Rzymu po podpisaniu nominacji bp. Roppa ; Benedykt XV korzysta jednak z bardzo korzystnej opinii przesłanej mu o ks. Łozińskim i wkrótce mianuje go pierwszym biskupem wskrzeszonej po dziesiątkach lat diecezji mińskiej.

— — — — — — — — — —

Ks. Zygmunt Łoziński jako biskup nie zapomina ani na chwilę o swym powołaniu kapłańskim i duszpasterskim. Z tego, co sobie postawił za zadanie życia — nie ujmuje nic, jedynie w sprawach Kościoła zamienia rolę rządzonego — na rządzącego. I nie ma już na względzie jedynie przywieść pojedyńcze dusze do Boga i do Kościoła katolickiego, ale z największą gorliwością zabiega o powagę, prawa i świętość Kościoła Chrystusowego. Czuje w sobie powagę i dostojeństwo, jako przedstawiciela najświętszej Instytucji na ziemi. Pozostając w życiu codziennym i w obcowaniu z ludźmi tymże samym najpokorniejszym sługą bożym, umie dochodzić praw należnych biskupowi. I jeżeli o ks. Łozińskim, jako kapłanie, można było powiedzieć za św. Eliaszem : „Żalem rozżaliłem się o Pana Boga Zastępów“ — to teraz gorliwość o chwałę i zwycięstwo Kościoła katolickiego pobudzała go do heroicznych czynów. Z pełnym zrozumieniem swego posłannictwa pragnie zostać ojcem, opiekunem i pasterzem owiec jemu powierzonych. Nie pozwala swym diecezjanom inaczej tytułować siebie jak „Pasterzem“, a serce ojcowskie okazuje nie tylko wszystkim katolikom, ale prawosławnym i żydom, zamieszkałym w jego diecezji, ponieważ, zdaniem jego : „dał mi ich Pan Jezus, ażebym też przywiódł do owczarni“.

Jego „przyjaźń“ z innowiercami i izraelitami wywoływała często cierpkie uwagi i nawet bezpośrednie

zarzuty. Ale bp. Zygmunt znosił wszystko pokornie, trwając niezłomnie na tym stanowisku, że pozyskanie wszystkich dla Kościoła katolickiego leży w zakresie jego obowiązków pasterskich. A przecież diecezja mińska była wówczas najliczniejszą z istniejących poza mohylewską, bo licząca 3 miliony dusz. Z tej liczby świadomych katolików było zaledwie 12 proc., a reszta częściowo przymusowi prawosławni, albo żydzi, mahometanie i protestanci.

Diecezja mińska nie istniała od dziesiątek lat, trzeba było wszystko na nowo organizować. Nie było ani mieszkania dla biskupa i kapituły, ani tym bardziej seminarium. Bp. Zygmunt nie zrażał się tymi trudnościami: z Bogiem i parą chętnych rąk do pracy, jak św. Teresa z Avila, organizował i budował. Wkrótce można było otworzyć seminarium, do którego na początku weszło 17 kleryków ze seminarium piotrogrodzkiego.

Owocną pracę organizacyjną przerywa przyjście bolszewików. Biskup naraża się władzom zaborczym swym odważnym wystąpieniem w Kościele przeciwko bolszewikom. Ogromny okup zostaje nałożony na jego głowę. Wtedy wierni diecezjanie, po długich, na klęczkach nawet, prośbach, uzyskują od bp. Zygmunta to, że się chroni z paroma księżmi do t. zw. „Puszczy" — do dzikiej leśnej okolicy, gdzie w przebraniu chłopskim mieszka w chacie leśnika i wraz z nimi i swymi czteroma kapłanami cały dzień spędza na karczowaniu lasu. Cudem udaje mu się ujść aresztowaniu przez patrole bolszewickie. Sam pracuje przez kilka miesięcy, zawsze pełen humoru i jak najlepszych myśli. Dzień — z siekierą w ręku — noc spędzona na odprawianiu Mszy św. i modlitwie. Odebranie Mińska przez wojska polskie wróciło biskupowi wolność: oddział ułanów, przyjechał z powozem po Pasterza aż do leśniczówki. A kiedy wzruszony widokiem wojska polskiego wyszedł ku nim biskup przed chatę, po-

klękali wszyscy i jak kłosy pochylili głowy przed błogosławiącą ich ręką Pasterza.

Nie danym jednak było bp. Zygmuntowi spokojnie pracować w Mińsku. Niebawem nastąpił odwrót wojsk polskich i ponowny najazd bolszewików. Tym razem, w oczekiwaniu wroga, ewakuowano znaczną część ludności. Wtedy bp. Łoziński dnie całe spędzał na dworcu, pocieszając i błogosławiąc odjeżdżających i własnoręcznie pomagając dźwigać wywożone mienie i ładować je na wozy. Głuchy był na usilne, błagalne prośby diecezjan, ażeby wraz z nimi opuścił miasto. Na wszystkie nalegania miał tylko jedną odpowiedź, że Pasterz owczarni swojej opuszczać nie powinien, a chociażby nie tylko więziony, ale i zamordowany został; bezowocnym tego czynu nazwać nie będzie można, bo, „kto wie — dodał — czy Pan Jezus nie potrzebuje krwi mojej, jako ofiary przebłagalnej dla uratowania owczarni?“[7])

Dużo sił i otuchy dodawała odjeżdżającym na tułaczkę obecność pogodnego, błogosławiącego ich Pasterza. Nie opuścił żadnego pociągu ewakuacyjnego, a w chwili odjazdu intonował zawsze: „Boże coś Polskę“. Potem szedł do dzielnicy żydowskiej i tam pilnował nocami całymi, żeby cofające się wojska nie skrzywdziły żydów.

Drugi najazd bolszewików zastaje bp. Łozińskiego prawie całkiem osamotnionego; tylko trzech księży było wówczas w Mińsku. Jeden z nich wkrótce umiera, dwaj inni zostają wraz z biskupem uwięzieni i wywiezieni do Moskwy.

Nowy „rodzaj“ pracy staje otworem przed bp. Zygmuntem: uświęcenie własnej duszy, podniesienie jej do najściślejszego zjednoczenia z Bogiem, przez pokutę, post, zupełną samotność i milczenie. W moskiewskich „Butyrkach“ przebywa 9 miesięcy, zamknięty sam jeden w celi, ażeby nie mógł mieć na nikogo wpływu.

---

7) Ks. W. Czeczott, Diecezja mińska, str. 36.

W więzieniu czyta dużo, a przede wszystkim pisze: książkę do nabożeństwa i swoje „Rozważania majowe dla duchowieństwa". O wyrobieniu moralnym, do jakiego dochodzi przez pokorne i ochotne znoszenie wszystkiego, co mu Bóg zsyła, sądzić można najlepiej z tej książki. Widać w niej nie tylko ogromną wiedzę biblijną, znajomość duszy ludzkiej i warunków życiowych, ale nade wszystko cała książka tchnie wielką miłością Bożą i pragnieniem zupełnego wyniszczenia dla Boga. Jak św. Jan od Krzyża, chce bp. Zygmunt dla Boga „pracować i cierpieć nieustannie", a zdając sobie sprawę, że widok jego męczeństwa i bohaterstwa mógłby wywołać pochwały i uznanie, chce się wyrzec tego i prosi Boga: „zewnętrznie niech mi się nic nie udaje, niech na każdym kroku spotykam trudności; niech będę narażony na nieustanne upokorzenia, śmiechy i sądy, i niech ludzie widzą tylko me niedołęstwo, głupotę i brak serca. Bez obrazy Twojej niech się stale odwracają ode mnie i niech ja widzę, że dzieje się to sprawiedliwie"[8]). I nie tylko uznania ludzi nie chce, ale w dalszym ciągu prosi Boga nawet o zesłanie mu ciemności wewnętrznej i przygnębienia bez pociechy, bez świadomości obecności Bożej, ażeby mógł pracować nie dla zapłaty. Akt ten bp. Łozińskiego daje poznać całą głębię jego duszy, wyrobienie wewnętrzne, miłość i pragnienie ofiary dla Boga. Właściwie niepotrzebna jest żadna osobna charakterystyka zmarłego biskupa: kto przeczyta uważnie jego akt, pozna tę wyjątkową duszę, równą świętym pańskim.

Po zwolnieniu z więzienia nie wraca już bp. Łoziński do Mińska, który w międzyczasie traktatem ryskim oddany został na zawsze Rosji, ale osiada w rodzinnym Nowogródku i stamtąd rządzi rozległą diecezją.

---

8) „Rozważania majowe", Poznań, św. Wojciech 1927. Str. 295.

Za swe „nieustraszone" poglądy cierpiał biskup Łoziński w więzieniu moskiewskim. Teraz darzyli go nie tak wielkim, ale może boleśniejszym w gruncie rzeczy, prześladowaniem i niechęcią niektórzy jego rodacy.

Kiedy się pomyśli o prośbach bp. Zygmunta, zanoszonych do Boga w jego wyżej przytoczonym „akcie", to mimowoli ma się wrażenie, że Bóg te modlitwy wysłuchał w całej pełni. Bo dużo bardzo wystąpień zmarłego Biskupa, czy to w formie licznych listów pasterskich, czy innych posunięć, było przez grono osób nieprzychylnie przyjmowane, a świątobliwy Pasterz posądzany o brak patriotyzmu. On, który męki cierpiał w Butyrkach za swą polskość, za „Boże coś Polskę" śpiewane w kościele, a jak wiemy, prześladowania te uprzednio trwały przez całe jego życie kapłańskie, bywał posądzany nie tylko o brak polskości, ale wprost nazwany przez jednego kapłana „zdrajcą ojczyzny". Trzeba przyznać, że bp. Łoziński był w dobrym znaczeniu „fanatykiem" religijnym: gdzie chodziło o Kościół katolicki, o poszanowanie jego przykazań i nawet przepisów, tam nie znał żadnych kompromisów. Sprawę Kościoła stawiał ponad sprawy narodowe i to raziło tych, którzy identyfikując katolickość z polskością, aż do dziś dnia uważają siebie wówczas za dobrych katolików, jeżeli obchód narodowy lub jaką rocznicę rozpoczną od wysłuchania Mszy św.; a mało ich obchodzi, czy w dalszym ciągu święcenia uroczystości, czy też w mowach i odczytach wygłaszanych, jest we wszystkim zgodność z nauką Kościoła, która nakazuje miłować nawet nieprzyjaciół.

Ktoby chciał bliżej zapoznać się z poglądami narodowymi ks. bp. Zygmunta, niech przeczyta książkę p. t. „Chrześcijańska miłość Ojczyzny i praca narodowa"[9]). We wstępie pisze Biskup: „Rozważanie poniższe

---

9) Bp. Z. Łoziński, Gniezno, Nakł. Langego, Sp. Akc., 1919 r.

pisałem dla pożytku mych wiernych, będąc, jako jeden z polskich pasterzy narówni z innymi niezliczonymi diecezjanami mymi, a przeważnie rodakami, ścigany przez wrogów religii katolickiej i naszego narodu. Dzięki czynię Bogu, iż mam sobie za zaszczyt i szczęście, być wystawionym na niebezpieczeństwo, upokorzenie i cierpienie dla Kościoła świętego lub dla Ojczyzny, które nauczyłem się nad życie kochać już jako dziecko od swych rodziców".

W duchu prawdziwej, dobrze zrozumianej miłości ojczyzny są też pisane listy pasterskie z okazji np. wyborów do sejmu.

Trudno poruszyć, chociażby tylko pobieżnie, wszystkie dziedziny zainteresowań bp. Zygmunta, bo był to człowiek niezmiernie wszechstronny. Wszystkim się interesował, każdą potrzebę bliźniego, a tym bardziej społeczeństwa brał szczerze do serca i pomagał, gdzie komu mógł.

Pobyt w Nowogródku trwał zaledwie kilka lat. 28. X. 1925 r. Ojciec św. Pius XI erygował bulą „Vix dum Poloniae" diecezję pińską. Arcypasterz wiedział o tym zamiarze Papieża i zawczasu przygotowywał Pińsk na przyszłą siedzibę kapituły i seminarium. Siedem ostatnich lat swego pracowitego życia spędził na Polesiu. Ilu prac się imał, ile dokonał w tak krótkim stosunkowo czasie, o tym się dowiemy z obszerniejszego życiorysu Pasterza. Z niesłabnącą energią po raz trzeci budował diecezję od samych podstaw, a fakt to chyba izolowany w pracach i życiu biskupów katolickich.

W ciągu dwóch lat po ingresie zakłada dwa seminaria: wyższe w Pińsku, mniejsze w Drohiczynie nad Bugiem. Eryguje kapitułę, tworzy drukarnię diecezjalną, wydaje oficjalne czasopismo: „Piński Przegląd Diecezjalny". W krótkim czasie powstają liczne dekanaty i parafie. Szczególnie zabiega o rewindykację zabranych przez prawosławnych kościołów katolickich. Procesom nie ma końca. W sprawie tej wy-

daje specjalny list pasterski do prawosławnych, tłumacząc im w serdecznych, tchnących ojcowską miłością słowach, że nie ma zamiaru ich prześladować, jedynie pragnie sprawiedliwości.

Do życia kościelnego wprowadza liczne nabożeństwa, szczególnie propaguje kult Najśw. Serca Jezusowego i Intronizację; popiera i krzewi Bractwa, sprowadza do swej diecezji coraz więcej zakonów męskich i żeńskich i stara się, ażeby miały zapewnione pomieszczenie i warunki egzystencji.

Znaną też jest powszechnie działalność unijna bp. Zygmunta. Popiera i szerzy, jako środek zjednania prawosławnych dla Kościoła katolickiego, obrządek wschodni; zwołuje konferencje unijne i sam im przewodniczy. Zwiedza rozległą diecezję z niezwykłą dokładnością, wszędzie chce być sam, zapoznać się z nędzą moralną i materialną Polesia.

W życiu prywatnym nie wymaga dla siebie niczego. Przy wspólnym stole bierze zawsze ostatni, umartwiając się ile się tylko da, a zawsze z humorem i dowcipem. Załatwia swe sprawy na mieście pieszo, sam, bez asysty. Dlatego też można było widzieć nieraz biskupa pomagającego dźwigać nawet staremu żydowi ciężki pakunek. Jeździ zawsze trzecią klasą, a zapytywany o powód, odpowiada dowcipnie: „Bo w Polsce nie ma czwartej klasy".

Surowy dla siebie, karzący swe ciało i swego ducha, potrafił wymagania swe względem innych zastosować do natury ludzkiej i łask posiadanych przez daną duszę. Sam mówił, że na jednych trzeba używać „kija", na innych „pałki", chcąc tym wyrazić różnicę, jaką musi stosować w swych wymaganiach.

Czuwając bezustannie nad duszami, które oddały się jego kierownictwu, zwracał przede wszystkim uwagę na to, do czego Bóg daną duszę wzywa. I jeżeli widział w niej powołanie i siłę do życia bardziej we-

wnętrznego i umartwionego, to dużo od niej żądał i prowadził do coraz większych wyżyn.

Ale przede wszystkim pragnął we wszystkich swoich „dzieciach" duchowych rozwinąć pragnienie cierpienia dla Boga. Wszak sam żył tak wybitnie zamiłowaniem ofiary, mógł więc śmiało pociągać za sobą duszę na tę drogę najpewniej wiodącą do Boga i doskonałości.

Całe życie swe cierpiał, szedł dzień po dniu z krzyżem swym za Chrystusem, ażeby w końcu dać się całkiem ukrzyżować i umrzeć w okrutnych boleściach.

Znane są opisy cierpień ostatniej choroby świątobliwego biskupa; cierpliwość jego daje się rozumieć tylko przez nadzwyczajne łaski nadprzyrodzone. Zasłużył sobie na nie pracowitym życiem i wielką miłością Boga. Z tej miłości zrodziło się pragnienie cierpienia; wszak sam się przyznaje do tego w swym liście z za grobu, w którym pisze: „Bardzo pragnąłem oddać za was życie swe całe i zawsze prosiłem Pana Jezusa, aby mi dał dużo cierpieć za was, i przez cierpienie wysłużyć Kościołowi to, czego nie mogła dla niego zyskać moja praca nieudolna".

Bóg go wysłuchał — oddał życie w strasznych męczarniach i poszedł promienny, upaść do nóg Pana Jezusa i tam modlić się za wszystkich drogich jego sercu i wszystkich chrześcijan, ażeby: „Miłowali Boga, tak jak on Go umiłował".

— — — — — — — — — —

Umarł w opinii świętości, a liczne łaski i prawdziwe cuda wypraszane za jego pośrednictwem świadczą i prawdziwości tego przypuszczenia.

Bożą jest rzeczą, czy zechce wynieść wiernego swego sługę na ołtarze, naszą rzeczą modlić się o to i modlić z ufnością, choć całkiem prywatnie, o wstawiennictwo bp. Zygmunta Łozińskiego.

Elżbieta Estreicherowa.

Przegląd współczesny

Najnowsza literatura o św. Katarzynie Sienieńskiej[1]).

Zainteresowanie Dziewicą Sieneńską wzrasta z każdym dniem, grupując około tej wielkiej postaci całe szeregi jednostek różnych sfer. Nic w tym dziwnego. Znaczenie św. Katarzyny jest bardzo wielkie tak w dziedzinie duchowej i politycznej, jak również literackiej.

Już zaraz po śmierci Świętej, jej uczniowie i jej wielbiciele odczuli naglącą potrzebę, by dać światu i sobie jakąś pamiątkę szerokiej działalności Beninkasy. Ich prośby i pragnienia zaspokoił spowiednik Katarzyny, bł. Rajmund z Kapuy. W *Legenda Maior* skreślił życie Świętej, a jego współbrat, Tomasz Nacci Caffarini zebrał i wydał te fakta, które pominął bł. Rajmund.

Później jednakże przez długi okres czasu cień zapomnienia osłonił Dziewicę Sieneńską; owe pierwsze pomniki zostały pokryte pyłem na półkach starych, średniowiecznych bibliotek. Nie zaginęła jednak tradycja, zwłaszcza wśród obywateli Sieny, gdzie pamięć rodaczki była zawsze żywa, święta...

---

1) Małe to sprawozdanie jest dodatkiem do art.: „Zainteresowanie św. Katarzyną w Italji", który to artykuł ukazał się w „Szkole Chrystusowej" ubiegłego roku [maj 1935].

Dopiero wydanie listów św. Katarzyny w roku 1721 przez G. Gigli[2]) przyczyniło się do podjęcia dalszych studiów. Zarówno teologowie jak i historycy zajęli się badaniem manuskryptów, różnych fragmentów. Zdobycze swej żmudnej pracy jedni i drudzy publikowali, co rzuciło wiele światła na postać Świętej i na jej misję. Jednakże dotąd nie ukazało się dzieło kompletne, któreby objęło wszystkie pierwotne życiorysy Beninkasy.

Tego trudnego zadania podjął się uniwersytet sieneński. W 1934 r. rektor wspomnianego uniwersytetu rzucił projekt opracowania takiego dzieła. Projekt został przyjęty bardzo chętnie przez Generała Zak. Kazn., o. Marcina Stan. Gillet'a. Dwóch dzielnych, uczonych historyków zabrało się do pracy: prof. F. Nalli, oraz o. Laurent, dominikanin, członek *Tajnego Archiwum Watykańskiego,* prof. w Międzyn. Instytucie „Angelicum".

Już w marcu ub. r. poszukiwania wydały piękne owoce. Są nimi: *Fontes Vitae S. Catharinae Senensis*[3]). Tomik ten zawiera wszystkie dokumenty archiwalne, mające jakąkolwiek wzmiankę o Katarzynie Beninkasie. Teksty, po części opublikowane, zostały przejrzane i poprawione przez o. Laurent według oryginałów, za którymi szperał po archiwach i bibliotekach.

W kilka miesięcy później prof. Valli wydał: *Miracoli-Cuda*[4]) anonimowego autora, obywatela Florencji. Dziełko napisane anonimowo w 1374 r., a zatem sześć lat przed śmiercią Katarzyny. Jest to najstarszy dokument, świadczący o czci Dziewicy sieneńskiej. Dotąd nie było krytycznego wydania tego dokumentu. Z dwóch manuskryptów przepisywano jeden lub drugi, nie troszcząc się o warianty, często bardzo ważne,

---

2) Lucca 1721.
3) T. I: I Documenti, Firenze, G. Sansoni, 1936.
4) T. II: I Miracoli di Caterina di Iacopo di Benincasa, Firenze, Sansoni, 1936.

tak z powodu rozwoju języka włoskiego, jak również kultu Świętej w trzynastym i pierwszej połowie czternastego wieku.

Te dwa już wydane dokumenty, starannie i krytycznie opracowane, pozwalają nam żywić nadzieję, że za kilka lat, podjęte dzieło stanowić będzie prawdziwą *Sumę*.

Wkrótce ukaże się opracowana przez prof. F. Nalli *Legenda Minor* Maksymiliana da Salermo z niewydanym jeszcze dodatkiem Caffariniego, oraz *Processus Castellanus* z rozmaitymi dokumentami, dotyczącymi kanonizacji św. Katarzyny i *Legendy Maior*, w opracowaniu o. Laurent. *Z.*

Przegląd bibliograficzny

O. HARDY SCHILGEN, T. J., *Dlaczego nie przychodzisz?* Myśli o częstej Komunii świętej. Tłum. z niem. — Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. — Str. 209.

Autor zalecenia nie potrzebuje, jest bowiem znanym z innych dziełek swoich, w których tak pięknie broni idei czystości wśród młodzieży, szczególnie tej dorastającej. W obecnym dziełku nie daje on wyczerpującego traktatu o częstej Komunii św. ze stanowiska teologicznego, daje natomiast wskazówki praktyczne, oparte o dekret Piusa X „o częstej Komunii św.“ Prawie każdy rozdział tego dziełka zawiera piękne rady, zdrowe pojęcie praktyki częstego komunikowania, idzie zdrową pośrednią drogą między karygodną lekkomyślnością, oddalającą od tabernakulum, a fałszywą dewocją, zapominającą o wielkości i godności Sakramentu. Za wielką zasługę poczytuję Autorowi, że zwrócił uwagę na przystępowanie do Komunii św. łącznie z Ofiarą Mszy św. Warunki określane przez Piusa X do częstego przyjmowania Komunii św., wyłożone zrozumiale. Jedno tylko możnaby mieć zastrzeżenie, co do spowiedzi św.; możeby lepiej było ze względu na brak u nas należytego zrozumienia życia duchowego (nawet u dusz t. zw. pobożnych), pozostawić jako radę spowiedź dwutygodniową, albo trzytygodniową. Spowiedzi t. zw. „z pobożności“ nie nazwałbym „niepotrzebnymi“, ze względu na to, że i one przecież u tych, co do nich przystępują *„in statu gratiae“*, zawsze ją powiększają (str. 48).

Rozdział o wymówkach od częstego przystępowania doskonale ujęty, tak samo wpływ Eucharystii na charakter i ochronę czystości u młodzieży.

Wogóle książka o. Schilgena nadaje się bardzo do rozszerzenia i zachowania częstego przyjmowania Komunii św.

O. Antonin Górnisiewicz, O. P.

JAN DE CANLIBUS, *Rozmyślania o życiu Jezusa Chrystusa,* Katowice 1936.

Obok bardzo potrzebnej w języku polskim literatury naukowej czekamy z utęsknieniem na dzieła o Jezusie Chrystusie, któreby, choć pozbawione balastu naukowego, dzięki swej bezpośredniości i prostocie ewangelicznej zadzierżgnęły najzażylszy stosunek między nami, ludźmi XX w. a naszym Zbawcą. Dzieło, które mamy przed sobą, należy do tych rzadkich u nas książek, a jest takim, ponieważ jest poczęte z Ducha św. Franciszka Serafickiego. Te rozważania były przez długi czas przypisywane św. Bonawenturze, w końcu uznano je za pracę nieznanego syna Biedaczyny z Asyżu, Jana de Canlibus. Na powyższej książce wycisnęło średniowiecze swe niezatarte piętno. Gorąca miłość ku Bogu, święta poufałość z Jezusem, głęboka pokora, widnieją na każdej karcie tego przedziwnego dzieła. Zdaje się jakoby autor był naocznym świadkiem życia Chrystusa Pana. Szczególnym urokiem odznaczają się rozdziały, poświęcone dzieciństwu Pana Jezusa. Mocą i siłą ekspresji górują partie, opowiadające o gorzkiej Męce Zbawiciela. Z drugiej strony błędne zapatrywania epoki (np. wiek św. Józefa, długość ucieczki do Egiptu) znalazły swe odbicie w tych rozmyślaniach, ale nie umniejsza to wiele wartości książki, z której nikt nie będzie czerpał szczegółów egzegetyczno-historycznych, ale uczył się nawiązać nici jak najserdeczniejszej przyjaźni ze Zbawcą. Wielką zaletą rozmyślań jest to, iż, pisane dla nieznanej nam zakonnicy, umiejętnie w toku opowiadania pouczają

o sposobie rozmyślania. Tłumaczenie o. Lulika, O. F. M. jest prawie wszędzie bez zarzutu. *W. Eborowicz*

FIDELIS, *Bądź apostołem! Wzniosłe czyny młodych dusz.* Przeł. z franc. ks. J. H. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków. — Str. 217.

Z pragnienia Chrystusa zawartego w słowach „Przyjdź Królestwo Twoje" wypływa dla wszystkich wiernych nie tylko konieczność podporządkowania swej woli do woli Ojca Przedwiecznego, ale i obowiązek rozszerzania zasięgu i panowania prawd Ewangelii wśród ludów całego świata. Powinności tej, zda się niewykonalnej, zadośćuczynić może jednak każdy drogą apostolstwa modlitwy i uświęceniem drobnych obowiązków codziennego życia. — Tej formie apostolstwa poświęcona jest niniejsza książeczka. Przeznaczona zasadniczo dla rycerzy „Krucjaty", rekrutujących się przeważnie z dorastających dzieci, przemawia do nich z miłością, niewyszukanością treści, języka i formy. Podaje w swej osnowie program czterotygodniowych „Krucjat", poprzedzonych trzydniowym przygotowaniem, omawiając szczegółowo intencje dni poszczególnych.

Całość przedstawia się jako książeczka popularnie napisana, zawierająca w sobie ziarnka bożej prawdy, godna polecenia dla wszystkich, którym zależy na uświęceniu młodych dzieci. *Tom.*

S. D., *Uczeni a wiara w Boga.* — Potulice 1935. Str. 30.

Treścią broszurki jest: „Mędrzec wierzy w Boga, mędrek tylko w siebie". „Nauka dąży i powinna dążyć do — prawdy", której źródłem jest — Bóg.

Autor w piękny i przystępny sposób wykazuje szerokim masom, że nauka i wiara nie tylko nie sprzeciwiają się sobie, ale owszem, są w ścisłym ze sobą związku. Udowadnia to licznymi cytatami słów największych uczonych. *Br. D. B.*

Nadesłano do Redakcji:

O. HARDY SCHILGEN, T. J., *Dlaczego nie przychodzisz?"* — Myśli o częstej komunii świętej. Przekład z niem. — Kraków 1936. Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. Str. 209.

KS. JÓZEF HÄTTENSCHWILLER, T. J., *O miłości Serca Jezusowego.* — Czytania. — Przełożył z niem. ks. Wł. Nachtman, T. J. — Kraków 1936. — Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. — Str. 288.

FIDELIS, *Bądź apostołem.* Wzniosłe czyny młodych dusz. Przeł. z franc. ks. J. H. — Kraków 1936. Wyd. Apostolstwa Modlitwy. — Str. 221.

O. FRANCISZEK KSAWERY MORETTI, T. J., *Cudowne działanie wody św. Ignacego Loyoli.* Tłumaczenie z włoskiego. — Kraków 1936. Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. — Str. 160.

KS. JERZY BEKIER, *Gwiazdka w Ognisku.* Materiały na „opłatek". Kalisz 1936. Nakł. autora. — Str. 24.

KS. JERZY BEKIER, *Wieczór gwiazdkowy czyli najnowsze jasełka.* Na role dziewczęce. Kalisz 1936. Nakł. autora. — Str. 70.

A. VERRIELE, *Il sopranaturale in noi e il peccato originale.* Versione italiana di Fr. Anselmo M. Tommasini, O. F. M. — Società Editrice „Vita e Pensiero", Milano 1936. — Str. IX+340.

S. BARBARA ŻULINSKA, *Jeden z nas.* Obrazki z życia polskiego chłopca. Ilustrowała s. Aniela Józefowiczówna. — Warszawa 1936. — Str. 75.

Kalendarz Głosu Karmelu na rok 1937. Nakł. „Głosu Karmelu", Kraków 1936.

ŚW. JAN OD KRZYŻA, *Żywy płomień miłości*. Przełożył z hiszp. o. Bernard od Matki Bożej, Karmelita bosy. — Kraków 1936. Nakł. „Głosu Karmelu".

KS. MICHAŁ RĘKAS, *Rekolekcje dla chorych*. Część pierwsza i druga. Lwów 1936. Nakł. Apostolstwa Chorych. — Str. 134-180.

KS. MICHAŁ RĘKAS, *Msza św. chorych*. Lwów 1936. Nakł. Apostolstwa Chorych. — Str. 140.

KS. MICHAŁ RĘKAS, *Apostolstwo Chorych w Polsce*. Poznań-Lwów. Nakł. Naczel. Inst. Akcji Kat. — Str. 18.

M. H. LELONG, O. P., *Dookoła zła*. Przełożyła z franc. Maria Sosnkowska. Lwów 1936. Nakł. Tow. „Biblioteka Religijna". — Str. 128.

ANG. PIROTTA, O. P., *Summa philosophiae aristotelico-thomisticae*. Vol. II. Philosophia naturalis generalis et specialis. Taurini 1936. Wyd. Marietti. — Str. XXXI-819.

JOS. AERTNYS, C. SS. R., *Compendium liturgiae sacrae iuxta ritum romanum in Missae celebratione et Officii celebratione*. Editio 10, recentissimis S. R. C. decretis accommodata ab A. Dankelman, C. SS. R. Taurini 1936. Wydawn. Marietti. — Str. VIII-195.

FRANC. TER HAAR, C. SS. R., *Casus conscientiae de praecipuis huius aetatis vitiis eorumque remediis*. Taurini 1936. Wydawn. Marietti. — Str. VII-201.

Acta Pont. Academiae Romanae S. Thomae Aq. et Religionis Cath. Nova series, vol. II, anno 1935. Taurini 1936, Wydawn. Marietti. — Str. 235.

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.

Redaktor odpow.: *O. Bernard Przybylski O. P.*